

STEPHEN P. MIZWA

**HISTORIA FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ\***

W rozwoju kontaktów kulturalnych między Polską a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej ogromną rolę odgrywa instytucja zwana „Fundacją Kościuszkowską”. Jej powstanie i historia związane są nierozdzielnie z nazwiskiem jej założyciela, Stephena P. Mizwy, który dla tej instytucji poświęcił swe siły, zdolności i niemal całe dojrzałe życie. Można bez przesady powiedzieć, że Fundacja Kościuszkowska była dziełem życia Stephena P. Mizwy, a sam twórca nazywa ją „wielką przygodą swojego życia”.

Stephen P. Mizwa (imię i nazwisko rodowe: Szczepan Mierzwa) urodził się 12 XI 1892 r. w miejscowości Rakszawa w pow. Łańcut. Na przełomie XIX i XX w. jego rodzice przenieśli się do Baszni Dolnej w pow. Lubaczów. Tu chodząc do czteroklasowej szkoły podstawowej młody Stefan Mierzwa (w szkole tej zmieniono mu imię ze „Szczepan” na „Stefan”) usłyszał po raz pierwszy od kolegi o Ameryce i Tadeuszu Kościuszcze.

Za namową przyjaciela rodziny, Józefa Stoniny, Stefan Mierzwa wyjeżdża w 1910 r. do Stanów Zjednoczonych. Po ukończeniu szkoły publicznej w Northampton zapisuje się do Carnegie Institute, a następnie do American International College. W 1920 r. wstępuje do Amherst College, gdzie studiuje ekonomię, nauki polityczne i historię. Po jego ukończeniu rozpoczyna studia na uniwersytecie w Harvardzie, gdzie uzyskuje stopień magistra sztuk (A.M.) Następnie podejmuje pracę na Drake University jako wykładowca ekonomii. W tym okresie pod wpływem kontaktów z różnymi osobistościami ze sfer uniwersyteckich, zwłaszcza z drem Meiklejohnem i drem MacCrackenem rodzi się u Stefana Mierzwy myśl o założeniu organizacji popierającej wymianę naukowo-kulturalną między Polską a Stanami Zjednoczonymi.

---

\* Artykuł jest obszerną częścią książki *The Story of the Kościuszko Foundation. How It Came About*. New York 1972.

Prezentowany poniżej duży fragment książki Stephena P. Mizwy *The Story of the Kościuszko Foundation. How It Came About*, wydanej w Nowym Jorku w 1972 r., ukazuje dramatyczne początki tej instytucji i główne etapy jej tworzenia się.

## I. POLSKO-AMERYKAŃSKI KOMITET STYPENDIALNY

### *Dobry pomysł*

Tak, to był dobry pomysł, ale pozostawał problem: jak go zrealizować. Nie znałem nikogo i faktycznie nikt nie znał mnie. Uczyłem lub próbowałem uczyć ekonomii, ale wszystkie zasady ekonomii, pieniądza czy bankowości, których nauczałem, nie odpowiedziały mi, jak prosić ludzi o pieniądze, za które nie otrzymuje się w zamian nic – z wyjątkiem obietnicy, że ich dary pomogą niektórym młodym ludziom, których oni nie znają. Co więcej, rok 1923 był tym okresem, w którym wyjątkowo trudno było zdobyć pieniądze dla jakiegoś celu dotyczącego Polski. Polscy Amerykanie albo amerykańscy Polacy, jak tu byli nazywani, zanim stali się „Amerykanami polskiego pochodzenia”, byli niezmiernie szczodrzy podczas I wojny światowej. Bezpośrednio po wojnie byli eksploatowani w okresie 1920/1923 przez różnych „przedsiębiorców” i zdecydowali się trzymać swoje pieniądze w swych kieszeniach.

Jednakże, był jeden człowiek w Ameryce, nie pasujący do panującego klimatu moralnego, na którego nasi ludzie patrzyli z szacunkiem: był to polski minister w Waszyngtonie, zanim urząd ten nie został podniesiony do rangi ambasady, dr Władysław Wróblewski.

Było to latem 1923 r., przed moim trzecim rokiem nauczania w Drake. Jako początkujący uczyniłem trzy rzeczy: 1. kupiłem przenośną maszynę do pisania „Corona”; 2. wysłałem apele przez polskojęzyczną prasę z prośbą o pomoc dla projektowanego Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, mającego na celu popieranie wymiany studentów i profesorów pomiędzy Polską a Ameryką; 3. prosiłem dra Wróblewskiego, aby był opiekunem tego funduszu, dopóki jego suma nie osiągnie kwoty 5000 \$. Tak, to był pierwszy ambitny cel, 5000 \$! Było to założenie na tyle skromne, aby uczynić możliwą jego realizację, a jednak na tyle wielkie, aby sprowadzić pierwszą grupę ośmiu polskich studentów do Ameryki.

Wyobrażałem sobie, że jeśli otrzymam stypendia z college'ów amerykańskich i uniwersytetów, 500 \$ na studenta pokryje utrzymanie i mieszkanie przez rok szkolny, a 1000 \$ pokryje bilet na statek parowy dla ośmiu studentów przybywających do Ameryki. Komitet Stypendialny zostanie formalnie zorganizowany, gdy będzie osiągnięty cel 5000 \$.

Miło mi wyznać, że dr Wróblewski ustąpił i zgodził się służyć za opiekuna napływających wkładów. Mówię „ustąpił”, ponieważ ze względu na swą pozycję dyplomatyczną nie chciał być wciągany w problemy i projekty, które były sprawą miejscowych ludzi – tzw. Polonii, społeczności polonijnej.

Zdarzyły się dwie rzeczy, które wspomogły projekt w jego początkowych fazach.

Po pierwsze, kiedy pan A.A. („Antoni”) Paryski z Toledo, Ohio, wydawca polskiego dziennika i tygodnika „Echo Ameryki”, otrzymał mój pierwszy apel, wysłał mi kartę pocztową za jednego centa, na której żartobliwie napisał po polsku: „Dobry pomysł, ale obawiam się, że nie uzyska pan sumy 5000 \$. Jeśli osiągnie pan sumę 4000 \$ od czterech milionów polskich Amerykanów, ja sam włożę 1000 \$, aby suma wynosiła 5000 \$”. Żart był na jego rachunek. Wziąłem go na poważnie i opublikowałem „zastaw meczowy” w innych gazetach. W ciągu ośmiu miesięcy wkłady wyniosły 3237,75 \$ i pan Paryski został przekonany, że suma 4000 \$ będzie wkrótce osiągnięta, więc wysłał swój 1000 \$.

Nie było sprawą łatwą osiągnąć 5000 \$. Wkłady przychodziły w małych kwotach, poczynając od kilku centów, a potem w kwotach 1 \$, 2 \$, 5 \$, 10 \$, niekiedy 25 \$. Cztery dotacje były w kwotach 100 \$. To były największe dary poza otrzymanym od Paryskiego.

Po drugie w ciągu około dwóch miesięcy od rozpoczęcia kampanii w celu zebrania 5000 \$, Polskie Zjednoczone Towarzystwa (United Polish Societies) z New Bedford, Massachusetts, chciały pozyskać ministra Wróblewskiego jako głównego rzecznika dla sprawy, która miała wielkie znaczenie dla miejscowej wspólnoty polonijnej. Polska uczennica w New Bedford wygrała pewien rodzaj nagrody, ufundowanej przez lokalny dziennik i Polskie Zjednoczone Towarzystwa chciały zrobić wielkie wydarzenie z ceremonii nagradzania. Ponieważ znałem dra Wróblewskiego, zapytano mnie, czy mógłbym próbować przekonać go, aby przyjął ich zaproszenie. Obiecałem, że będę próbował, ale wyjaśniłem, że minister otrzymuje wiele zaproszeń na ważne okazje i nie jestem pewny, czy uda mi się nakłonić go do przybycia do New Bedford. Jednakże, ponieważ minister jest ogromnie zainteresowany – lekka przesada – w istnieniu Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, bardzo by mi pomogło, gdyby miejscowa społeczność zebrała jakąś znaczną kwotę pieniędzy na Fundusz Stypendialny, której bym mógł użyć jako argumentu. Zebrali 525 \$ i dr Wróblewski przybył do New Bedford.

Samo to wydarzenie było bardziej znaczące aniżeli suma pieniędzy, jaką przyniosło dla ożywienia zainteresowania innych organizacji i potencjalnych indywidualnych ofiarodawców w innych wspólnotach.

### *Realizacja pomysłu*

Datki zaczęły napływać w coraz większej ilości, jeśli nawet nie w większych kwotach. Jednakże trzeba było dokładnie roku, od 1 VII 1923 do 1 VII 1924 r. aby osiągnąć sumę 5000 \$. Dr Wróblewski przysyłał mi raporty w odstępach półmiesięcznych, wpisując każdego pensa, począwszy od 25 centów, – jakie otrzymywał na fundusz, który trzymał w obligacjach. Zachowałem do dziś wszystkie jego 31 „List Dawców” od 1 VIII 1923 do 1 XII 1924 r., na wypadek jakichś problemów, które mogłyby powstać wskutek złego wypełnienia albo niewypełnienia obowiązków po stronie dra Wróblewskiego lub mojej.

Pierwszy dar, 5 \$, przyszedł od Stefana Swierczyńskiego z Chicopee, Massachusetts. Wcześniej mieszkał on w Amherst i był na tyle uprzejmy, że dał mi pokój wolny od opłaty oraz okazyjny posiłek podczas jednego semestru na moim pierwszym roku w Amherst. Faktycznie 105 \$ spośród pierwszych 132 \$, które otrzymaliśmy, przysły z Chicopee, rodzinnego miasta pani Mizwa, gdzie ja również byłem znany.

Ponieważ pierwsze 5000 \$ Polsko-Amerykańskiego Funduszu Stypendialnego było załączkiem późniejszej Fundacji Kościuszkowskiej, w Dodatku „A” podaję również kwoty z różnych list otrzymanych od dra Wróblewskiego, aż do osiągnięcia sumy 5000 \$ i wyżej.

Szczerze mówiąc, trzeba było ciężkich zmagañ, aby zebrać sumę 7100 \$ i zajęło to półtora roku. Rok akademicki 1923/24 był moim trzecim i ostatnim rokiem nauczania w Drake, a rok 1924/25 był moim drugim rokiem na Harvardzie, po opuszczeniu Drake. W obydwu miejscach często zaniedbywałem moją pracę akademicką w celu załatwiania korespondencji na mojej przenośnej „Coronie” (metodą polowania i dziobania) i wysyłania kwitów rozliczeniowych. Polskojęzyczne dzienniki i tygodniki były dość hojne w publikowaniu list dawców i apeli o dalsze dary. Może to będzie spóźniony wyraz wdzięczności – zarówno dla czasopism, które jeszcze istnieją, jak i dla tych, które przestały istnieć przed laty, za ich wkład. Nawiasem mówiąc, moja metoda pisania na maszynie była tak nudna i pochłaniająca czas, że zrodził się we mnie wstręt do maszyny do pisania. Nawet teraz nie mogę patrzeć na maszynę do pisania z uczuciem sympatii.

Osiągnąwszy warunkową kwotę 5000 \$, a faktycznie coś ponad 5000 \$, zorganizowałem Polsko-Amerykański Komitet Stypendialny. Komitet ten, z nieuniknioną wymianą urzędników od czasu do czasu, był uważany wtedy za projekt kompletny. Miałem wydrukowanych kilka nagłówek listowych z nazwiskami siedmiu urzędników, z których dwóch: dr MacCracken i pan Vauclain, nie byli polskiego pochodzenia. Aby wzbudzić zaufanie, pod każdym nazwiskiem umieściłem zawód. Dr Wróblewski zgodził się pełnić funkcję prezydenta, poza tym mieliśmy czterech wiceprezydentów. Urzędnicy tworzyli Komitet. Z wymienionych w tym piśmie (kwiecień 1969) siedmiu

urzędników, tylko dwóch było jeszcze żyjących: dr MacCracken i autor tej książki. Udało mi się znaleźć pojedynczą kopię takiego nagłówka.

John F. Smulski, wybitny Amerykanin polskiego pochodzenia i bankier, był skarbnikiem. Kombinacja polskiego ministra w Waszyngtonie z dobrze znanym bankierem zmierzała do tego, by stworzyć poczucie stabilności i zaufania. Jednakże Komitet funkcjonował jedynie przez niewiele ponad rok, od września 1924 r. do 22 IX 1925, kiedy to Fundacja Kościuszkowska została formalnie zorganizowana na pierwszym spotkaniu początkowego Zarządu Administratorów, odbytym w biurze pana Vauclaine'a w Filadelfii.

W czasie funkcjonowania Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego pan Smulski otrzymał z publicznych wpływów tylko 1 928,70 \$, co w sumie dawało 9 028,78 \$, które wpłynęły od 1 VII 1923 do 22 IX 1925 r. Później pan Smulski ofiarował 1000 \$ w papierach wartościowych na rzecz rozpoczynającej swą działalność Fundacji Kościuszkowskiej.

Jak można zauważyć z nagłówka Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, innymi członkami i urzędnikami, poza drem Wróblewskim, panem Smulskim, drem MacCrackeniem i niżej podpisanym, byli: Chester Dziadulewicz z Milwaukee, Wisconsin i C. W. Sypniewski z Pittsburgha, Pennsylvania. Pan Dziadulewicz był bardzo pomocny, zamieszczając moje apele w swoim dzienniku „Kurier Polski” i drukując bez opłaty niektóre z materiałów do rozdziału, np. Konstytucję. Pan Sypniewski był wtedy najwyższym urzędnikiem, wielkim mistrzem („Cenzor”) Polskiego Związku Narodowego i jednym z niewielu przywódców w społeczności polonijnej, którzy wykazywali zainteresowanie projektem od początku. Potem, gdy Fundacja Kościuszkowska została zorganizowana, wniósł wkład 500 \$.

### *Skąd przychodziły pieniądze i jak były wydawane?*

Załączony tu wykaz jest geograficznym rozkładem przychodów według stanów plus trzy kraje obce: Australia, Kanada i Polska.

Massachusetts .....	\$ 2330,00	Kanada .....	\$ 37,00
Ohio .....	1630,10	Michigan .....	22,00
Illinois .....	1372,10	Missouri .....	14,00
Pennsylvania .....	978,85	Różne (brak miejsca) .....	9,00
New York .....	746,21	Australia .....	7,90
Wisconsin .....	561,80	Minnesota .....	6,00
Rhode Island .....	403,35	Indiana .....	5,00
New Hampshire .....	222,00	Nebraska .....	5,00
New Jersey .....	166,85	Vermont .....	3,00
Connecticut .....	143,30	Polska .....	1,00
Washington, D.C. ....	64,00		\$ 8925,75
Maryland (Baltimore) ..	60,29	Procent .....	103,03
California .....	56,00		
West Virginia .....	43,00		
Washington .....	38,00	Razem .....	\$ 9028,78

9 000 \$ w tym czasie była to duża suma pieniędzy, równowartość może blisko 30 000 \$ mocy nabywczej w porównaniu z obecnym inflacyjnym dolarem. W tym czasie profesorowie college'u otrzymywali przeciętnie około 3000 \$, a 500 \$ mógł otrzymać student w ciągu roku akademickiego na swoje mieszkanie i utrzymanie.

Ponieważ osiągnęliśmy kwotę 9028,78 \$, udzieliśmy dziewięciu stypendiów pierwszej grupie studentów z Polski; ośmiu, którzy przybyli we wrześniu 1924 r., i jednemu, M. J. Michejdzie, który był już w Ameryce jeden rok na własny koszt.

Wydatki na tych dziewięciu studentów były następujące:

Linie oceaniczne U.S. za 8 biletów na parowiec .....	\$ 1000
Wacław Bielecki, Syracuse Univ., Administr. handl. ....	500
Jan Cender, Columbia Univ., Administr. handl. ....	500
Karol Kozłowski, Amherst College, Ekonomia .....	200
Dr W. Krzyżanowski, Yale, Ekonomia .....	500
M. J. Michejda, Harvard Gr. School of Business, Administr. ....	500
Maria Morzkowska, Columbia T.C., Nauka o gospodarstwie .....	500
M. Olekiewicz, Columbia T.C., Administr. szkolna, psychol. ....	500
Franciszek Wolski, Dartmouth College, Ekonomia .....	500
Wacław Wrzesień, Columbia Univ., Inżynieria cywilna .....	500
Razem .....	\$ 5200

Wszyscy studenci uczyli się dobrze, z wyjątkiem jednego, który okazał się niegodny stypendium. Pożyczył on pieniędzy od swoich amerykańskich kolegów szkolnych, kupił stary, zniszczony samochód i pojechał na wycieczkę na Zachód. Jego samochód zepsuł się w Toledo, Ohio, i – jak na nieszczęście – poszedł prosić o pieniądze A. A. Paryskiego, aby wydostać się z kłopotu. Pan Paryski napisał wtedy do mnie w żartobliwy sposób, że jeśli jego dar 1000 \$ był użyty na to, aby sprowadzić tego młodego człowieka do Ameryki, to jego pieniądze nie zostały mądrze zainwestowane. Spośród setek studentów wymienionych z Polską w latach następnych, kilku okazało się być poniżej naszych najwyższych oczekiwań, ale młody człowiek, o którym mowa powyżej, był największym rozczarowaniem. Jednakże został ukarany dosyć surowo. Kiedy powrócił na uniwersytet w Krakowie, został postawiony przed akademickim sądem koleżeńskim i nie został dopuszczony do wyższego stopnia.

Inny wypadek związany z eksperymentem wymiany studentów był nie tyle tragiczny, co raczej wprawiający w zakłopotanie. W roku szkolnym 1924/25 byłem znowu w Harvardzie i wraz z żoną mieszkaliśmy w zagęszczonych dzielnicach. Jeden z polskich studentów z pierwszej grupy, przeznaczony do jednego z college'ów na Wschodzie, przybył do Bostonu na samym początku i bez wcześniejszego zawiadomienia, znalazł nasz adres – 10 Alpine Street, w Cambridge. Musieliśmy więc zaopiekować się nim, jak tylko mogliśmy najlepiej, aż do otwarcia szkoły.

Nawiasem mówiąc, stypendium 500 \$ zawsze pokrywało utrzymanie, mieszkanie i książki. W każdym wypadku otrzymywaliśmy za darmo chesne od amerykańskich college'ów i uniwersytetów. Amherst ofiarował panu Kozłowskiemu więcej, aniżeli wynosiła jego opłata za naukę, dlatego z Komitetu Stypendialnego otrzymywał tylko 200 \$.

Na pierwszy semestr roku akademickiego 1925/26, jeszcze pod auspicjami Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, zostało odnowionych sześć spośród wcześniejszych stypendiów rocznych i dodano trzy nowe, mianowicie:

## Odnowione:

Wacław Bielecki .....	\$ 250
Jan Cender .....	150
Karol Kozłowski .....	250
Maria Morzkowska .....	250
M. Olekiewicz .....	250
Wacław Wrzesień .....	<u>250</u>
Razem.....	\$ 1400

## Nowe:

Dr Zbyszko Zieliński, John Hopkins Univ., Chemia .....	\$ 250
Adam Gostomski, Columbia Univ., Administracja handl. .	250
Prof. Eric P. Kelly, pierwszy amerykański profesor wymieniony do Polski w celu studiów i nauczania .....	<u>250</u>
Razem .....	\$ 2050

Wydatki sekretarza administracyjnego podczas pierwszego roku, gdy uczyłem, pokrywałem wszystkie wydatki osobiście. Kiedy powróciłem do Harvardu na rok akademicki 1924/25, podliczyłem ostatnie wydatki, które wyglądały następująco (od 1 VII 1924 r. do 22 X 1925 r.):

Opłata pocztowa .....	\$ 75,59
Telefon i telegram .....	20,12
Ubezpieczenia i druk .....	171,45
Podróż .....	<u>50,00</u>
Całkowity wydatek .....	\$ 317,16

Podsumowanie przychodów i rozchodów pod kierownictwem Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego:

Przychód, stan kasy .....	\$ 9028,78
Wydatki:	
Bilety na parowce i stypendia na rok 1924/25 .....	5200,00
Stypendia na I semestr roku akademickiego 1925/26 .....	2050,00
Wydatki sekretarza administracyjnego .....	<u>317,16</u>
	<u>7567,16</u>
Bilans .....	\$ 1461,62

Ten bilans, 1461,62 \$, został przeniesiony na rozpoczynającą swą działalność Fundację Kościuszkowską po 22 X 1925 r. z tym zastrzeżeniem, że Fundacja Kościuszkowska odnowi stypendia I semestru w kwocie 2050 \$. W ten sposób Fundacja Kościuszkowska wystartowała z długiem 588,38 \$.

## II. FUNDACJA KOŚCIUSZKOWSKA

Jak doszło do jej powstania?

*Zaczęło się przy stole jadalnym*

W Roslindale, przedmieściu Bostonu, mieszkała polska rodzina, Roman Piekarski z żoną i dwojgiem dzieci: Wiktoria i Romanem. Pan Piekarski był właścicielem intratnego luksusowego salonu piękności w Bostonie, a pani Piekarska była gospodynią domu i doskonałą kucharką. Piekarscy lubili młodych ludzi, szczególnie studentów, którzy byli bardzo głodni, i prawie każdej niedzieli zapraszali kilku studentów na kolację. W tym celu dzielili oni studentów na trzy kategorie: 1. mających zaproszenie na przychodzenie w każdą niedzielę, jeśli tylko będą mieć czas; 2. przychodzących od czasu do czasu, ale tylko za każdorazowym zaproszeniem; 3. tych, którzy byli zaproszeni raz i zaproszenie nie zostało powtórzone.

Gdy byłem samotny, podczas mego pierwszego roku w Harvardzie w 1920/21 r., należałem do pierwszej kategorii gości, a kiedy przybyłem do Harvardu na rok akademicki 1924/25, była już ze mną pani Mizwa i uprzywilejowane zaproszenie Piekarskiego rozciągało się na nas dwoje. Gdy byłem samotny, korzystałem z otwartego zaproszenia prawie w każdą niedzielę. Wygląd i smak domowej pieczeni był pokusą, której głodny student nie mógł się oprzeć. Zmysł przyzwoitości pani Mizwy był silniej rozwinięty niż mój i wspólnie nie chodziliśmy do Piekarskich częściej, aniżeli raz na parę miesięcy. Na jednym z tych niedzielnych obiadów był młody inżynier z Polski, który studiował na M.I.T. Należał on do drugiej kategorii gości obiadowych. W trakcie podniosłej dyskusji nad różnymi problemami i projektami, jak ratować świat, pozyskiwać przyjaciół i wpływać na ludzi, powstała kwestia, co czynić, aby w odpowiedni sposób uczcić 150 rocznicę przybycia Kościuszki w celu wzięcia udziału w Amerykańskiej Wojnie Domowej. Dla wszystkich Amerykanów było rzeczą stosowną uczcić tego wielkiego człowieka, jednego z pierwszych zagranicznych oficerów, który dobrowolnie oddał swe usługi sprawie niepodległości Ameryki. Był znakomitym inżynierem i to właśnie jego wybór pozycji w Saratodze przyczynił się w dużym stopniu do wygrania bitwy, zwrotnego punktu w Amerykańskiej Wojnie Domowej. Uważany za ojca amerykańskiej artylerii, jest on również ściśle złączony z West Point, które pomógł ufortyfikować podczas wojny z Anglią. Przed powrotem do Europy wyraził swoją ostatnią



wolę i sporządził testament, mianując Tomasza Jeffersona jego wykonawcą. W testamencie tym zostawiał w spadku dobra, jakie wdzięczny Kongres przyznał mu za jego wysiłki w obronie niepodległości Ameryki, przeznaczając je na cele uzyskania wolności dla niewolników i przeszkolenia ich w handlu oraz obowiązkach i powinnościach obywatela. Niestety, spełnienie jego pragnień okazało się rzeczą niemożliwą. Był to jednak człowiek wielki dla wszystkich Amerykanów.

Ta 150 rocznica miała nadejść w 1926 r. Powstał problem fundacji jakiegoś pomnika, z kamienia czy z brązu, na grzbiecie końskim czy na piedestale. Ale było już parę pomników Kościuszki w Ameryce: w West Point, w Waszyngtonie, w Cleveland, w Chicago i w Milwaukee. Pojawiła się jeszcze inna kwestia: jeśli będzie to pomnik materialny, to gdzie powinien być postawiony.

Już teraz nie pamiętam, czyj to był pomysł, ale myśl przyszła jak błyskawica: Dlaczego nie żywy pomnik Kościuszki, w celu popierania stosunków kulturalnych między dwoma krajami, którym tak szlachetnie służył – Polską i Ameryką? FUNDACJA KOŚCIUSZKOWSKA!

Czułem, że w tej właśnie sprawie miałem coś do zrobienia. Tej nocy nie mogłem spać. Leżałem czuwając całą noc, rozmyślając nad sprawą, rozważając możliwości, korzyści i problemy. Czy jest to możliwe do wykonania, a jeśli tak, to w jaki sposób? To było na wiosnę 1925 r. Poprosiłem już o dłuższy urlop w Drake i robiłem plany powrotu jeszcze na jesieni do Harvardu za pieniądze pożyczone od siostry i szwagra. Ponieważ zagrażał strajk węglowy, kupiliśmy trzy tony węgla do naszego czynszowego mieszkania.

### *Pierwszy publiczny apel*

Dokąd pójdziemy stąd? To było zasadnicze pytanie. Oczekiwaliśmy naszego pierwszego dziecka w listopadzie, a nasze oszczędności praktycznie się rozeszły, parę setek pozostałych dolarów trzeba było odłożyć dla zapewnienia opieki mającemu się narodzić dziecku, a ja wahałem się pożyczać pieniądze na pracę nad projektem, który może być oceniony jako nierealne marzenie. Byłoby inaczej, gdybym pozostał w Harvardzie na dalsze studia.

Fundacje rozpoczynały zwykle swą działalność od początkowego daru pokaźnych rozmiarów, otrzymanego od dobroczyńcy. W tym wypadku proponowana Fundacja Kościuszkowska miała rozpocząć swą działalność od zapelowania do opinii publicznej. W ten też sposób rozpoczęliśmy. Sprzedaliśmy te trzy tony węgla leżącego już w piwnicy po obniżonej cenie i zaczęliśmy pracować nad apelem do społeczeństwa. Ponieważ czynsz został zapłacony z góry do końca sierpnia, przebywaliśmy na 10 Alpine Street w Cambridge do ostatniego dnia opłaty czynszowej. Ponieważ nie znałem nikogo z pieniędzmi, kto byłby chętny rozpocząć realizację projektu od znacznego

daru, moim pierwszym krokiem było przygotowanie skierowanego do wszystkich ludzi dobrej woli apelu do polskojęzycznej prasy w imieniu Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego.

Apel ten, wysłany w sierpniu 1925 r., brzmiał następująco:

150 rocznica przybycia Kościuszki do Ameryki.

Co społeczność polonijna pragnie zrobić z tej okazji?

W następnym roku, to jest w 1926, będziemy obchodzić uroczystości 150 rocznicę przybycia Kościuszki do Ameryki. Ze względu na ważne usługi, które ten „bohater dwu półkul” oddał ludziom amerykańskim w ich walce o niepodległość, rocznica ta będzie obecnie nadarzającą się okazją do zacieśnienia więzów przyjaźni między tymi dwoma siostrzanymi republikami, Polską i Stanami Zjednoczonymi, dla wzajemnego uświadomienia sobie przez nie wspólnych ideałów i dążeń.

Jak będziemy obchodzić tę rocznicę, co uczynimy, aby stworzyć z niej trwałą pamiątkę?

Zamiast pustych zdań, ciągle powtarzanych przez mówców na publicznych uroczystościach i przez polityków amerykańskich, zamiast paru lub nawet kilku pomników kamiennych, które mogą być wzniesione tu i tam, czyż nie będzie dobrą i godną pochwały rzeczą, jeśli zbudujemy naszymi wspólnymi wysiłkami tu, w Ameryce, żywy pomnik dla T. Kościuszki, żywy pomnik w formie obszernego funduszu dotacyjnego, z którego dochód byłby użyty na cele wymiany studentów i profesorów między Polską i Stanami Zjednoczonymi?

Polsko-Amerykański Komitet Stypendialny wprowadził już w czyn ideę wymiany studentów i profesorów pomiędzy Polską i Stanami Zjednoczonymi. Podczas minionego roku akademickiego 1924-1925 mieliśmy dziewięciu studentów z Polski, studiujących w amerykańskich instytucjach szkolnictwa wyższego. Podczas następnego roku akademickiego będziemy mieli tę samą liczbę polskich studentów studiujących w Stanach Zjednoczonych i w dodatku pod auspicjami i z pomocą Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego będziemy mieli młodego profesora amerykańskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Projekt już się zaczął realizować według naszego zdania na małą skalę, ale zaczął się dobrze i powinien być poszerzony i ujęty w trwałą formę. W celu stworzenia stałej bazy dla projektu i zapewnienia mu trwałej egzystencji, bez konieczności apelowania do ludzi o wkłady każdego roku, Polsko-Amerykański Komitet Stypendialny planował ewentualne nasilenie swych wysiłków w kierunku utworzenia funduszu dotacyjnego. Skarbnik Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, p. Jan F. Smulski, przyrzekł już 1000 \$, aby rozpocząć taki fundusz dotacyjny, gdyby ewentualnie był tworzony.

Jednakże mając na względzie nadchodzącą 150 rocznicę przybycia Kościuszki do Ameryki, powstała w Komitecie Stypendialnym sugestia w formie pytania: Czy nie byłoby możliwe powiększenie Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego przez połączenie wysiłków Amerykanów polskiego i niepolskiego pochodzenia i stworzenie fundacji stypendialnej nazwanej Kościuszkowską albo „Fundacją Stypendialną na pamiątkę Kościuszki”. To byłby żywy pomnik, godny narodu z kulturowym dziedzictwem.

Jak odpowie społeczność polonijna?

Gdy niektórzy z Amerykanów niepolskiego pochodzenia byli pytani, co sądzą o tym projekcie, spontanicznie odpowiadali: Wspaniała idea! Idźcie naprzód z projektem, zaczniacie aktywnie działać, a my będziemy wspomagać moralnie i finansowo. Kościuszkę był bohaterem polskim i amerykańskim, walczył o wolność Polski i Ameryki. Żywy pomnik nazwany imieniem Kościuszki, bohatera dwu kontynentów! Idea jest godna gorącego poparcia!

Taki Fundusz Dotacyjny umożliwiłby dalszym pokoleniom w odrodzonej Polsce studia w Ameryce i nauczyłyby ich coś o narodzie, o którego wolność walczył Kościuszkę. A z drugiej strony, dla młodych Amerykanów byłoby możliwe studia w Polsce i nauczanie się czegoś o narodzie, który wydał Kościuszkę. Taki pomnik będzie żywą więzią przyjaźni pomiędzy narodami

polskim i amerykańskim i zawsze będzie przypomnieniem ideałów, o które walczył Kościuszko. Wspaniała idea!

Jak odpowie społeczność polonijna? Co myślą czytelnicy, każdy z was, który czyta te słowa? Czy możemy my, Amerykanie polskiego pochodzenia, z lub bez poparcia innych Amerykanów uczynić coś, aby upamiętnić imię bohatera dwu półkul przez stworzenie żywego pomnika, funduszu edukacyjnego, który po wsze czasy będzie przypominał przyszłym pokoleniom wspólne ideały dwu narodów i po wszystkie czasy będzie żywą więzią kulturalną między Polską a Ameryką?

Czytelnicy tych słów, polscy Amerykanie w ogólności – a w szczególności ci, którzy przyczynili się do realizacji Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego i ci, którzy może życzą sobie przyczynić się do tego projektu – są proszeni o wyrażenie swojego zdania albo za pośrednictwem prasy, albo przez napisanie do niżej podpisanych.

To jest projekt narodowy i jeśli ma się udać, musi być oparty na moralnej aprobacie całego społeczeństwa. Aby dowiedzieć się od przeciętnych obywateli, co ludzie myślą o tym projekcie, każdy czytelnik tych słów jest proszony o wyrażenie swojej opinii, nawet w formie paru słów, do niżej podpisanych.

Czy mamy upamiętnić tę ważną rocznicę przez powtarzanie banalnych zdań o Kościuszcze, czy też wzniesiemy żywy pomnik w formie Funduszu Edukacyjnego, godnego ludzi z tradycją kulturową i potomków Tadeusza Kościuszki?

Komitet:

Dr Władysław Wróblewski, przewodniczący  
 Samuel M. Vauclein, wiceprzewodniczący  
 Dr Henry N. MacCracken, wiceprzewodniczący  
 C.W. Sypniewski, wiceprzewodniczący  
 C. Dziadulewicz, wiceprzewodniczący  
 Jan F. Smulski, skarbnik

Stefan P. Mierzwa  
 Sekretarz Administracyjny  
 10 Alpine Street  
 Cambridge, Mass.  
 Za Komitet

### *Pierwsze kroki organizacyjne*

Podany tu apel został wysłany do około 40 polskojęzycznych czasopism – około tuzina dzienników i reszty tygodników, wówczas istniejących, do ponad 800 polskich proboszczów i do wszystkich prezesów polskich bratnich organizacji dobroczynnych, takich jak Polski Związek Narodowy z siedzibą główną w Chicago, Polska Unia Rzymsko-Katolicka w Chicago, Polski Związek Kobiet w Chicago, Polski Związek „Sokół” w Pittsburgu i innych. Nawiasem mówiąc, całą pracę biurową wykonałem sam.

Sądząc po odpowiedziach od przywódców wspólnot polonijnych, albo raczej po braku odpowiedzi i negatywnej postawie tych, którzy starali się wyrazić swą opinię w tej czy innej formie, wydawało się – przynajmniej na początku – że byłem „złym człowiekiem ze złym pomysłem w złym czasie”.

Polska prasa w największej części poszła za apelem. Było kilka zachęcających komentarzy ze strony szeregowych czytelników, najczęściej polskich imigrantów, którzy zarabiali na chleb z masłem ciężką pracą. Praktycznie nie było żadnej odpowiedzi od oficjalnych przywódców. Spośród prezesów bratnich narodowych organizacji dobroczynnych odpowiedziało tylko

dwóch: dr Teofil Starzyński, prezes Polskiego Związku „Sokół” z Pittsburgha i C.W. Sypniewski z Pittsburgha, który był jednym z wiceprzewodniczących Komitetu Stypendialnego. Dr Starzyński był rodzajem osoby zabłąkanej wśród przywódców wspólnot polonijnych i na wiele kwestii miał odmienne od innych poglądy. Powiedział, że idea Fundacji Kościuszkowskiej jest dobra, godna poparcia i że na niego można liczyć. Otrzymałem pięć odpowiedzi od polskich proboszczów i tylko od jednego z nich odpowiedź była zachęcająca. To był „dobry pomysł” i jeśli się powiedzie, on go poprze...

Szczerze mówiąc, od samego początku idei Fundacji Kościuszkowskiej miałem na uwadze jeden milion dolarów jako fundusz dotacyjny. Było to wtedy i jest jeszcze dziś dużo pieniędzy. W wypadku Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego z „celem” 5000 \$, najpierw zebrałem pieniądze, a potem organizowałem Komitet, aby administrować funduszem. W tym wypadku, gdzie celem był milion \$, musieliśmy mieć najpierw strukturę organizacyjną, aby zebrać pieniądze, rodzaj Zarządu Dyrektorów lub Zarządu Administratorów, złożony z ludzi, którzy byli dobrze znani i mogli budzić zaufanie.

Oto, w jaki sposób postępowalem.

Po pierwsze, pani Mizwa, która za parę miesięcy spodziewała się naszego pierwszego dziecka, pojechała mieszkać do swoich rodziców, Daniela i Apolonii Twarogów w Chicopee, Massachusetts.

Niech to będzie wieczną zasługą mojej żony i jej rodziny, że żadne z nich nie postawiło ani jednego pytania odnośnie do tego niewłaściwego postępowania, że mąż i przyszły ojciec pozostawia swą żonę i oczekującą dziecka matkę z jej rodzicami.

Po drugie, pojechałem zobaczyć się z drem MacCrackenem i prosić go o radę. Dał mi dwie rady. Po pierwsze, jeśli rzecz jest godna zrobienia w ogóle, to jest warta tego, aby ją zrobić dobrze. A w tym celu powinienem zrezygnować z mojego stanowiska w Drake, założyć główną kwaterę Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku i poświęcić cały swój czas i energię temu projektowi. Po drugie, by móc aktywnie działać, potrzebujemy trochę pieniędzy. Powinienem odwiedzić pana Samuela M. Vauclaina z Filadelfii, prezesa Fabryki Lokomotyw Baldwina, który sprzedał kilka lokomotyw do Polski, gdy Paderewski był premierem i który może być zainteresowany w byciu jednym z założycieli-administratorów oraz podaniu nam pomocnej dłoni.

Pan Vauclain był jednym z wiceprzewodniczących Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, ale ja nigdy przedtem się z nim nie spotkałem. Nasze kontakty dokonywały się poprzez korespondencję. Moje pierwsze osobiste spotkanie z nim było bardzo interesujące, chociaż omal że nieszczęśliwe. Nie wiedziałem, że aby zobaczyć się z zajęтым człowiekiem, powinienem najpierw prosić o wyrażenie przez niego zgody. Pojechałem do Fila-

delfii, przeszedłem parę sekretarek, zobaczyłem pana Vauclaina, nakreśliłem wielki projekt i zapytałem go, czy będzie jednym z ojców założycieli Fundacji Kościuszkowskiej. Słuchał grzecznie i uważnie. Potem stwierdził:

Może coś w tym jest, ale ja nie wiem nic o takich programach edukacji czy wymiany kulturalnej, jakie pan tu nakreślił. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, poproszę naszego wiceprezesa, pana Franciszka de St. Phalle'a, aby przyszedł i posłuchał pańskiego opowiadania. Pan de St. Phalle jest absolwentem college'u, człowiekiem wykształconym, był w Polsce; jeśli on uzna, że powinienem przyłączyć się do tej – jak ją pan nazywa – Fundacji, to będzie mi miło tak uczynić.

To brzmiało bardzo zachęcająco. Opowiedziałem znów całą historię tak przekonywująco, jak tylko mogłem i spodziewałem się, że ten „absolwent college'u” i „wykształcony człowiek” zaaprobuje projekt. On zadał tylko jedno pytanie, złożył jedno oświadczenie i opuścił biuro. Pytanie jego brzmiało: „Czy mam rozumieć, że chce pan zebrać milion dolarów?”. Kiedy odpowiedziałem „tak”, oświadczył: „nierealna mrzonka i ja nie mogę radzić naszymu prezesowi, panu Vauclainowi, aby się w to angażował”.

Po czym pan Vauclain wstał aby wskazać mi, że rozmowa skończona i że powinienem rozglądać się za wyjściem. Jego jedyną uwagą było: „Słyszał pan reakcję pana de St. Phalle'a i ja nie sądzę, że powinienem się w to angażować”. Aby być grzecznym, ja również wstałem, ale nie oglądałem się za wyjściem. Potem zdobyłem się na najwyższy wysiłek przy następującej przemowie:

Panie Vauclain, powiedział pan, że nie jest człowiekiem wykształconym i polega na radzie pana de St. Phalle'a, który jest człowiekiem wykształconym. Ja szanuję jego urzędową postawę, ale pan jest kimś więcej niż człowiekiem z dyplomem college'u. Pan jest jednym z amerykańskich księżyat przemysłu, szeroko znanym i wielce poważanym. To prawda, że milion dolarów to dużo pieniędzy, ale to nie jest nierealna mrzonka, jak pan de St. Phalle stara się to określić. To jest wielki wkład w stworzenie atmosfery życzliwości i zrozumienia pomiędzy ludźmi z Polski i Ameryki. Jednakże chciałbym, aby pan zrozumiał, że nie przybyłem do pana po pieniądze, chociaż wspierająca ręka byłaby pomocna. Przybyłem do pana, aby zapytać, czy użyczy pan swego nazwiska w celu dodania znaczenia naszym wysiłkom. Pańskie nazwisko będzie wzbudzać zaufanie u tych, którzy będą w stanie wnieść wkład. Nie, panie Vauclain, to nie jest nierealna mrzonka. Jest to godziwa sprawa i w stosownym czasie my zbierzemy milion dolarów jako fundusz dotacyjny.

Pan Vauclain uśmiechnął się i powiedział:

Proszę siadać, chciałbym zadać panu jedno lub dwa pytania, zanim wyrażę swoją opinię. Kogo jeszcze ma pan jako założycieli, członków wprowadzających albo dyrektorów lub administratorów? Kogo ma pan na prezesa lub przewodniczącego Zarządu Dyrektorów lub Administratorów? Kogoś, kto

rozumie sprawy oświaty i o co w tym wszystkim chodzi? Kogo pan ma na funkcję skarbnika? Czy jest pan chętny i gotowy poświęcić cały swój czas temu projektowi jako sekretarz i dyrektor administracyjny?

To były właściwe pytania i byłem gotów na nie odpowiedzieć:

1. Nie mam nikogo innego na myśli jako założycieli czy członków wprowadzających poza drem MacCrackenenem, rektorem college'u w Vassar, ale jestem pewny, że będę miał paru znakomitych ludzi, którzy są zainteresowani stosunkami kulturalnymi między Polską a Ameryką;
2. Gdy chodzi o skarbnika, to mam nadzieję, że pan przyjmie tę funkcję;
3. Tak, jestem gotów i chętny poświęcić cały mój czas temu projektowi.

Potem pan Vauclain powiedział: „Wspomniał pan o drem MacCrackenie. Wiem, że jest doskonałym wychowawcą. Proszę wracać i zapytać go, czy będzie chciał pełnić funkcję prezesa i przewodniczącego zarządu. Jeśli on ją przyjmie, to ja przyłączę się do was”.

Co do drem MacCrackena jako prezesa i przewodniczącego zarządu również miałem gotową odpowiedź, opartą na przewidywaniu.

Panie Vauclain – powiedziałem – już go pytałem i powiedział, że chętnie będzie służył jako prezes oraz przewodniczący zarządu, jeśli pan przyjmie nasze zaproszenie, aby być jednym z założycieli i członków wprowadzających.

W takim razie – powiedział pan Vauclain – przyłączam się do was, ale nie mogę przyjąć funkcji skarbnika. Jestem zbyt zajęty moimi własnymi interesami. Poza tym, skarbnik musi być bankierem i powinien być pod ręką, w Nowym Jorku. Proszę iść i odwiedzić prezesa Trustu Gwarancyjnego w Nowym Jorku i powiedzieć mu, że ja pana posyłam.

Teraz miałem przed sobą dwa zadania do wykonania, zanim pójdę dalej: poinformować drem MacCrackena, że wybrałem go na prezesa i przewodniczącego zarządu, zanim zaistniał jakiś zarząd, bez uprzedniego skonsultowania się z nim, ale za aprobatą pana Vauclaina i odwiedzić prezesa Spółki Trustu Gwarancyjnego w Nowym Jorku, którego nazwiska nie przypominam sobie.

Dr MacCracken zgodził się bez żadnych trudności. Nie miałem też trudności w zobaczeniu się z prezesem Spółki Trustu Gwarancyjnego. Był on osobistym przyjacielem pana Vauclaina i kiedy przeszedłem przez sekretariat – najpierw młoda pani, a potem mężczyzna – był bardzo uprzejmy poświęcić mi pięć minut czasu, ponieważ musiał opuścić biuro, aby udać się na pociąg do Waszyngtonu. Wysłuchał mojego opowiadania, powiedział mi, że jest zbyt zajęty, ale sugerował, że jeden z wiceprezesów, Willis H. Booth, jest właściwym człowiekiem na to stanowisko. Zadzwoił do pana Bootha, zapoznał mnie z nim i powiedział mu, aby przyjął funkcję skarbnika w mającej powstać Fundacji Kościuszkowskiej.

Pan Booth nie miał żadnego wyboru w tej sprawie, ale zadał mi kłopotliwe pytanie: „czy straciłem swoją posadę i czy próbuję stworzyć ją dla siebie?” Powiedziałem mu, że miałem posadę czekającą na mnie, że jestem na urlopie i nie usiłuję stworzyć posady dla siebie, ale stworzyć instytucję. Pan Booth był dosyć bezwzględny dla moich uczuć przez parę lat, aż został całkowicie przekonany, że to, co czyniłem, nie czyniłem dla osobistych korzyści. Minęło jedenaście lat, zanim napisał do mnie – w związku z małą podwyżką zarobku z 300 \$ do 350 \$ na miesiąc, zgodnie z instrukcją od drem MacCrackena – aby zaświadczyć:

„Nie mogę znaleźć w moim doświadczeniu życiowym kogoś, kto służyłby wierniej godziwej sprawie, jak pan służy Fundacji Kościuszkowskiej...”

Jednakże pan Booth udowodnił, że jest bardzo dobrym skarbnikiem, pilnującym każdego pensa jak jastrzęb i był raczej konserwatywny w swojej polisie inwestycyjnej. Też inwestycyjna Fundacji Kościuszkowskiej była w bezpiecznych rękach. Pełnił on funkcję skarbnika przez 17 lat, od 1925 do 1942 r., kiedy to przeszedł na emeryturę jako wiceprezes G.T.C.

Na razie mieliśmy czterech ludzi jako jądro Zarządu Administratorów: drem MacCrackena, p. Vauclaina, p. Bootha i niżej podpisanego. Zanim początkowy Zarząd Administratorów zostanie skompletowany, chciałem zrobić dygresję, aby wspomnieć przelotnie o dwu innych stopniach w procesie organizacji.

Tak jak sugerował dr MacCracken, Nowy Jork był właściwym miejscem na założenie głównej siedziby Fundacji Kościuszkowskiej.

Jakiegokolwiek pieniądze, które mogliśmy zachować z naszych oszczędności, wzięłem ze sobą do Nowego Jorku pozostawiając Katarzynie tyle, by zapewnić opiekę dziecku, ponad 100 \$ pożyczyłem od mojego najbliższego przyjaciela, adwokata, a z czasem sędziego – Paula Flaka, który był również druhną na mojej ceremonii ślubnej. Paul pożyczył mi pieniądze, nie bez małej przemowy jednak, w której, z logicznego punktu widzenia, miał całkowitą rację. Opuściłem Harvard, nie kończąc mojej pracy nad doktoratem. Miałem zapewnioną pozycję z kadencją. Moja żona oczekiwała dziecka, a ja pozostawiłem ją z rodzicami, aby zaopiekowali się nią. Przybyłem do Nowego Jorku, aby przeprowadzić krucjatę, która jest szlachetna w zamierzeniu, ale bardzo niepewna, gdy chodzi o wynik. Ale nade wszystko nie miałem pieniędzy, aby się utrzymać; chyba, że zdarzy się jakiś cud.

Jakoś jednak dawałem sobie radę. Wynająłem pokój po „zachodniej stronie” ulicy siedemdziesiątej i płaciłem 8 \$ tygodniowo – z góry i z procentem. Pokój miał kuchenkę elektryczną i parę naczyń. Kiedy przybyłem wieczorem do domu, zastałem pokój zalany przez robactwo. Nie mogłem spać pierwszej nocy z obawy, że robactwo będzie pełzać po mnie. Pod koniec tygodnia zapakowałem swoją walizkę, zostawiłem notatkę na stoliku z wyjaśnieniem: „robaki i ja uważamy, że nie możemy się pogodzić”, i wyprowadziłem się.

Potem znalazłem tańszy pokój w tzw. Polskim Domu Imigracyjnym na ulicy Drugiej, blisko ulicy Dwunastej za 5 \$ tygodniowo. Był to czysty pokój. Faktycznie był on również zbyt chłodny dla robaków. Był to tymczasowy dom dla polskich imigrantów przed I wojną światową, ale udało mu się przetrwać jako siedziba główna miejscowej Grupy Polskiego Związku Narodowego. Pokój miał dwie zalety: był czysty i tani, i jedną wadę – gorącą wodę tylko okazynie. Aby się ogolić, wkładałem swoją maszynkę i krem do golenia do kieszeni, szedłem do Wielkiej Stacji Centralnej, płaciłem 10 centów za łazienkę i tam się goliłem.

Następnie pojawił się problem może nie tyle urzędu, co miejsca na biurko. Ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, aby zapłacić czynsz, musieliśmy znaleźć miejsce na biurko wolne od opłaty. Poszedłem do dra Sylwestra Gruszki, wówczas polskiego konsula generalnego w Nowym Jorku, i opowiedziałem mu historię o przyszłej Fundacji Kościuszkowskiej oraz zapytałem go, czy mógłby znaleźć miejsce na biurko dla mnie w budynku konsulatu, który był wtedy położony przy ulicy Trzeciej nr 953, niepozorny adres na rogu ulicy Pięćdziesiątej siódmej.

Powiedział:

Oczywiście! Nie tylko miejsce na biurko, ale cały frontowy pokój na drugim piętrze. Wychodzi on na ulicę Trzecią El, jest bardzo hałaśliwy i my nie możemy go używać. Możemy przydzielić panu miotłę. Pan może zamieść go, jeśli się nagromadziło w nim wiele kurzu, i zaraz wprowadzać się!

Dziękuję panu bardzo, panie Konsulu Generalny, ale my nie mamy biurka i nie mamy pieniędzy, za które można by je kupić. Czy może pan znaleźć jakieś stare biurko i pożyczyć nam?

– Tak, oczywiście – odpowiedział – w suterenie mamy kilka okrągłych biurek, które odrzuciliśmy. Poproszę dozorcę, aby wybrał jedno dla pana.

– Dziękuję panu bardzo, panie Konsulu Generalny – powiedziałem – ale my nie mamy maszyny do pisania. Czy może pan znaleźć jedną i pożyczyć nam?

– Oczywiście. bez problemu – brzmiała jego odpowiedź – w suterenie mamy kilka wybrakowanych maszyn do pisania i ja poproszę dozorcę, aby przyniósł jedną do pańskiego urzędu. Może się pan wprowadzić jutro i będzie pan urzędował.

Ponieważ biurko z ruchomym blatem wyglądało staroświecko, usunąłem ruchomy blat, zatkałem otwór, który wзираł ku mnie, gdy obrotowa powierzchnia została usunięta, kupiłem puszkę orzechowej farby za 25 centów, wyczyściłem je, pomalowałem i rzeczywiście byłem na urzędzie. Klawisze maszyny do pisania skakały tu i tam, ale udało mi się wykonać na niej trochę pracy, dopóki nie mieliśmy na tyle pieniędzy, aby kupić lepszą, fabryczną maszynę i wynająć sekretarkę urzędową.



### *Ojcowie Założyciele*

Następnym problemem było uzupełnienie organizacji początkowego Zarządu Administratorów, którzy pełniliby funkcję członków wprowadzających.

Jak już zaznaczono, Polsko-Amerykański Komitet Stypendialny obejmował następujące osoby: dra Wróblewskiego, dra MacCrackena i panów Vauclaina, Dziadulewicza, Sypniewskiego, Smulskiego i Mizwę.

Początkowym moim zamiarem było, by ten Komitet stanowił jądro Zarządu Administratorów Fundacji z dodaniem około ośmiu jeszcze ludzi ze społeczności polonijnej. Jednakże powstało parę problemów, które spowodowały, że było rzeczą niemożliwą lub niewskazaną, aby niektórzy członkowie Komitetu byli członkami wprowadzającymi i administratorami Fundacji.

Jeśliby Fundacja miała być zarejestrowana, członkowie rejestrujący musieliby być obywatelami amerykańskimi. Dr Wróblewski, polski minister w Waszyngtonie, nie mógłby być członkiem rejestrującym. Poza tym został on wkrótce odwołany do Warszawy.

Dziadulewicz był bardzo pomocny i chciał nadal być pomocny, ale on reprezentował jeden z wielu polskojęzycznych dzienników w Ameryce, a jeśli pan Dziadulewicz – to dlaczego nie wydawcy lub dyrektorzy innych czasopism? Było naturalnie dość dużo zazdrości między czasopismami i sądziłem, że żaden pojedynczy dziennik nie powinien być uprzywilejowany w reprezentowaniu Zarządu Administratorów z wykluczeniem innych, których pomoc byłaby potrzebna. Jak pokazało późniejsze doświadczenie, była to roztropna decyzja.

Sypniewski był w tym czasie jednym z najważniejszych przywódców w społeczności polonijnej jako szef („cenzor”) kierowniczej organizacji polonijnej, Polskiego Związku Narodowego. Miał on postępowe poglądy na potrzeby i problemy społeczności polonijnej; chciał coś w tej sprawie uczynić, ale tu znów, podobnie jak w przypadku polskojęzycznych czasopism, reprezentował jedno z około dwudziestu bractw polonijnych, z których większość chciała być również reprezentowana w zarządzie Administratorów. Jak się później okazało, na większości z nich nie można było polegać z punktu widzenia współpracy i pomocy. W rezultacie Sypniewski został również wykluczony jako kandydat do początkowego Zarządu Administratorów. Później, kiedy Polski Związek Narodowy okazał się najbardziej współdziałającym i pokaznym wspomożycielem Fundacji, gdy statek został zwodowany, został on zaproszony do administracji i pracował przez parę lat, od 1928 aż do jego porażki w powtórnych wyborach na urząd szefa Związku w 1932 r., kiedy to wycofał się z całej działalności do swej prywatnej praktyki prawniczej.

Smulski był znakomitym przywódcą w tzw. konserwatywnym skrzydle społeczności polonijnej i niewątpliwie był pomocny w wieloraki sposób. Mógł on usiłować dać znaczny wkład i mógł zainteresować innych wpływo-

wych ludzi spośród swoich przyjaciół. Jednakże ze względu na swoje słabe zdrowie odmówił naszemu zaproszeniu do Zarządu Administratorów.

Jako jądro Zarządu Administratorów Fundacji mieliśmy teraz trzech ludzi poza piszącym te słowa: dra MacCrackena, pana Vauclaina i pana Bootha. Powstał teraz problem: kto jeszcze? Sądząc po doświadczeniach z Polsko-Amerykańskim Komitetem Stypendialnym, czołowi przywódcy społeczności polonijnej nie byli zainteresowani. Zdecydowałem, po konsultacji z drem MacCrackenem i panem Vauclainem zaprosić dodatkowych administratorów i członków wprowadzających – trzech Amerykanów niepolskiego pochodzenia, którzy z takiego czy innego powodu byli zainteresowani Polską i mogli wzbudzać zaufanie.

Płk Cedric E. Fauntleroy z Chicago, który podczas wojny polsko-radzieckiej w 1920 r. był komendantem Powietrznego Szwadronu Kościuszkowskiego, w 1925 r. był bardzo popularny w społeczności polonijnej. Faktycznie, jedna z grup czy łóz Polskiego Związku Narodowego była nazwana imieniem płk. Fauntleroya.

Dr Robert H. Lord, profesor historii w Harvardzie, autor klasycznego potem *Drugiego rozbioru Polski*, który nauczył się języka polskiego w tym celu, by móc czytać polskie źródła, i był ogólnie znany jako oddany przyjaciel Polski. Był on doradcą prezydenta Wilsona na Paryskiej Konferencji Pokojowej dotyczącej granic Polski.

Prof. Paul Monroe z college'u Nauczycielskiego Uniwersytetu w Columbi, czołowy autorytet w sprawach wychowania, doradca kilku rządów, w tym i polskiego, w kwestii dotyczącej organizacji szkolnictwa.

Z wyjątkiem niżej podpisanego mieliśmy całkowicie amerykański zespół, gotowy do działania.

### *Początkowe spotkania administratorów i statut*

Pierwsze z organizacyjnych zebrań Zarządu Administratorów miało miejsce 22 X 1925 r. o godz. 11<sup>15</sup> w Filadelfii, w biurze pana Vauclaina. Byli obecni administratorzy, panowie: Lord, MacCracken, Mizwa, Monroe i Vauclain. Booth i Fauntleroy byli nieobecni.

Pan Vauclain przewodniczył jako tymczasowy przewodniczący, a następujący administratorzy zostali wybrani jako urzędnicy: dr Henry hr. MacCracken jako prezes i przewodniczący Zarządu, prof. Robert H. Lord jako wiceprezes, Willis H. Booth jako skarbnik i Stefan Mizwa jako sekretarz i dyrektor administracyjny.

Projekt Konstytucji i regulaminu przedłożony każdemu członkowi Zarządu przed zebraniem został przyjęty z paroma małymi zmianami i przegłosowano, by adwokaci Morris R. Bockius z firmy Morgan, Lewis i Bockius z Filadelfii zostali poproszeni jako pełnomocnicy przy rejestracji Fundacji.

Zarząd poinstruował Sekretariat, aby przygotował próbną listę kandydatów do Rady Narodowej Fundacji Kościuszkowskiej i wysłał ją pocztą do każdego członka Zarządu przed następnym zebraniem.

Zaraz na samym początku, chyba nawet na pierwszym zebraniu Administratorów, było dyskutowane zaangażowanie zawodowej firmy, aby wspomogła nas w zbieraniu pieniędzy. Dr MacCracken sugerował, że powinniśmy się zbliżyć do którejś z dwu czołowych firm w Nowym Jorku – John Price Jones albo Tamblyn and Brown, aby dały nam zarys programu kampanii i ocenę kosztów pokrywających ich podatki i inne wydatki. Wyraził preferencję dla Tamblyn and Brown, ponieważ ta firma prowadziła pełną sukcesu kampanię dla Vassar College.

Sekretarzowi polecono, aby skontaktował się z Tamblyn and Brown i poprosił tę firmę, by przygotowała wstępny projekt z uwzględnieniem określenia usług i kosztów w nim zawartych, pod warunkiem jednak, że nie będzie włączony żaden wydatek po stronie Zarządu w związku z robieniem wspomnianego projektu.

Wspominam kwestię zawodowej pomocy, a bardziej konkretnie firmy Tamblyn and Brown z powodu naszego późniejszego doświadczenia z tzw. zawodowym inkasentem pieniędzy i ostatecznie – 40 lat później – zaangażowaniem Tamblyn and Brown.

Prof. Monroe wysunął projekt – mając na względzie pragnienie stabilizacji urzędu – stałego sekretariatu w Polsce, w celu bardziej efektywnego wykonania drugiej strony wzajemnego układu. Prof. Monroe motywował swą sugestią faktem, że

wiele jednostek i fundacji, które popierają wychowanie w skali międzynarodowej, przyczyni się z radością do założenia Fundacji Kościuszkowskiej, jeśli podjęte będzie zobowiązanie, mające na celu stabilizację określonej maszynierii, która zapewni drugiej stronie spełnienie bardziej efektywne wspólnoty celów.

To była dobra sugestia i w swoim czasie Fundacja miała reprezentantów w Polsce, kierowanych przez późniejszego profesora, Romana Dyboskiego. Jednakże przewidywanie prof. Monroe'a, dotyczące darowizn i innych fundacji, było zbyt optymistyczne. Ani jeden pens nie nadszedł z innych fundacji.

Drugie zebranie Zarządu Administratorów, zanotowane w protokołach jako zebranie specjalne, miało miejsce 14 XI również w biurze pana Vauclaina. Przewodniczył dr MacCracken. Byli obecni ci sami administratorzy, co i na zebraniu organizacyjnym. Pan Vauclain donosił o tym adwokatowi Bockiusowi, uznając za rzecz niepraktyczną, aby spełniał on funkcję rzecznika do spraw rejestracji Fundacji Kościuszkowskiej; sugerował, że Fundacja winna być zarejestrowana w stanie Nowy Jork i że powinien być zatrudniony adwokat z Nowego Jorku. Na wniosek pana Vauclaina Zarząd de-

legował pana MacCrackena i sekretarza by poprosili adwokata Paula D. Cravatha do pełnienia funkcji pełnomocnika przy rejestracji Fundacji. W ciągu kilku tygodni pan Cravath nie tylko zapewnił świadectwo rejestracji, wydane 23 XII 1925 r., ale zapłacił również z własnej kieszeni wszystkie prawne wydatki jako jego wkład.

Według protokołu z tego zebrania:

Pan William L. Lockwood, reprezentant Tamblin and Brown, został wtedy poproszony, aby sporządził raport z próbnego planu i dokonał oceny wydatków dla prowadzenia kampanii finansowej na rzecz Fundacji Kościuszkowskiej. Wyraził on swój pogląd na korzyść planu dotacyjnego jako przeciwnego planowi członkostwa z rocznymi składkami, co wymagałoby ustawicznego przeprowadzania kampanii, aby podtrzymać konieczny entuzjazm. Przy sumie 500 000 \$ jako celu kampanii, cały szacunkowy koszt będzie wynosił 35 000 \$, czyli 7%. Przy kampanii zmierzającej do osiągnięcia 1 000 000 \$ cały maksymalny koszt będzie wynosił 60 000 \$, czyli 6% poszukiwanej kwoty. Z tej sumy 30 000 \$ będzie stałą kwotą dla pokrycia podatków firmy, osobowego uposażenia członków firmy i opłacenia wszystkich członków personelu, wyznaczonych na okres kampanii. Pozostałe 30 000 \$ albo reszta całkowitych kosztów z 60 000 \$ są na pokrycie wydatków kampanii, takich jak: drukowanie, opłata pocztowa, koszty podróży, diety, etc. Wobec faktu, że Fundacja pod nazwą Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego funkcjonowała już dwa lata odnosząc względny sukces i ze względu na widoczne usługi oddane przez Kościuszkę sprawie wolności Ameryki, a więc również z uwagi na zbliżającą się 150 rocznicę, pan Lockwood polecił 1 000 000 \$ jako cel kampanii i wyraził mocne przekonanie, że cel zostanie osiągnięty.

[...]

Na wniosek pana Vauclaina Zarząd jednogłośnie postanowił, że 1 000 000 \$ zostanie ustalony jako cel kampanii.

[...]

Sekretarz przedłożył Zarządowi szkic pieczęci Fundacji Kościuszkowskiej, narysowany przez pana Józefa Jabłońskiego, asystenta na Wydziale Sztuk Pięknych uniwersytetu w Harvardzie. Szkic został narysowany zgodnie z przepisem lokalnego miejskiego rozporządzenia, art. VI, w którym czytamy, co następuje: Pieczęć Fundacji powinna być kształtu okrągłego i mieć na marginesie wypisane następujące słowa i figury: Fundacja Kościuszkowska, założona w 1925, a w środku powinna mieć podobiznę Tadeusza Kościuszki. Na wniosek pana Vauclaina Zarząd jednogłośnie przyjął projekt oficjalnej pieczęci Fundacji i polecił sekretarzowi, aby zapytał o cenę takiej pieczęci i powiadomił o tym na następnym zebraniu.

[...]

Ze względu na związek Fundacji Kościuszkowskiej z Polsko-Amerykańskim Komitetem Stypendialnym, pan Mizwa postawił wniosek, aby po rozwiązaniu Komitetu, Fundacja przejęła jego fundusz rezydualny i wzięła odpowiedzialność za zagwarantowanie stypendium na pozostałą część roku dla 9 stypendystów studiujących obecnie pod auspicjami tegoż Komitetu i by ci studenci byli następnie uznani jako stypendyści Fundacji Kościuszkowskiej. Zarząd głosował jednomyślnie za tym wnioskiem.

Następne zebranie miało miejsce 7 XII 1925 r., również w biurze pana Vauclaina, przewodniczył dr MacCracken.

Zarząd upoważnił sekretarza do zamówienia i kupna pieczęci za cenę 20 \$ i został zatwierdzony budżet na następny okres 5 miesięcy, w kwocie 2939,21 \$. Był to w tym czasie pokaźny budżet, ale była to „mucha w rosole”, jak czytamy dalej w protokole.

Ponieważ budżet kosztów i innych uprawnionych wydatków opiewał na sumę 2939,21 \$, a fundusz rezydualny Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, już otrzymany na użytek Fundacji Kościuszkowskiej, wynosił tylko 1461,25 \$, Zarząd Administratorów na wniosek pana Vauclaina polecił sekretarzowi, aby poinformował każdego administratora o tej sytuacji i dał okazję tym, którzy czują się w stanie przyczynić się do wypełnienia tej luki i związania końca z końcem aż do czasu, gdy wydatki kampanii będą podpisane i tym samym fundusz zabezpieczony.

Kolejne zebranie odbyło się 6 I 1926 r., na którym przyjęto formalne świadectwo rejestracji i ustawy, przejęto też aktywa rozwiązanego Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendialnego, jak też przejęto w porę obligacje wspomnianego Komitetu.

Przez pierwszych kilka miesięcy zebrania administratorów odbywały się każdego miesiąca, ponieważ trzeba było rozstrzygnąć parę ważnych i mniej ważnych problemów. Przez jakiś czas dominującym tematem, którym się zajmowano, była kwestia upoważnienia sekretarza do pożyczania pieniędzy – tysiąc lub dwa – od Spółki Trustu Gwarancyjnego na okres następnych dwóch lub trzech miesięcy. Vauclain służył za poręczyciela na każdą pożyczkę. Co to była za ulga w tym czasie, gdy było dosyć pieniędzy w skarbie (12 000 \$ albo 15 000 \$) dla pokrycia budżetu na cały rok akademicki (finansowy), od 1 VII do 30 VI.

3 II 1926 r. zebranie odbyło się w biurze Vauclaina w Nowym Jorku na Broadway 120. Pan Vauclain poinformował Zarząd, że 24 II wyda lunch w Klubie Bankiera dla członków początkowej Rady Narodowej i przyjaciół, a

celem lunchu będzie danie okazji członkom Rady Narodowej do spotkania się z Zarządem Administratorów, także do przedyskutowania ogólnych polityk Fundacji mając na względzie zagwarantowanie publicznego poparcia naszych wysiłków.

Szkic świadectwa albo dyplomu dla członków Fundacji Kościuszkowskiej podpisany przez Józefa Jabłońskiego z Wydziału Sztuk Pięknych uniwersytetu w Harvardzie został zaaprobowany przez Zarząd.

Następnie Spółka Banknotowa Banku Amerykańskiego podpisała świadectwo i wydrukowała 5000 kopii na papierze banknotowym jako swój dar dla rozpoczynającej swą działalność Fundacji.

Wyłonił się problem pieniędzy. Aby utrzymać Fundację w bilansie roku akademickiego 1925/26, potrzeba było jeszcze 1000 \$. Na wniosek

Vauclaina, który zgodził się również dobrowolnie służyć za poręczyciela, Zarząd głosował, by upoważnić sekretarza do pożyczania w imieniu Fundacji 1000 \$ od Spółki Trustu Gwarancyjnego w celu zapłaty rat stypendialnych drugiego semestru dla dziewięciu studentów już studiujących pod auspicjami Fundacji Kościuszkowskiej.

9 III 1926 r. odbyło się w biurze Vauclaina w Nowym Jorku ważne zebranie urzędowe.

Jak odsłania protokół:

Sens zebrania był taki, że nadszedł już czas podjęcia definitywnych kroków w celu rozpoczęcia kampanii o milion dolarów funduszu dotacyjnego. Dlatego, na wniosek pana Vauclaina, Zarząd jednomyślnie głosował nad następującymi propozycjami:

Po pierwsze, aby prezes MacCracken jako przewodniczący Zarządu Administratorów Fundacji Kościuszkowskiej został upoważniony do mianowania Komitetu Finansowego Kampanii spośród administratorów i członków Rady Narodowej wspomnianej Fundacji.

Po drugie, aby prezesa i sekretarza upoważnić do zabezpieczenia rozpisania 30 000 \$ (trzydziestu tysięcy dolarów) wśród członków Rady i przyjaciół Fundacji, jak również do zapłacenia początkowych wydatków kampanii.

Po trzecie, aby prezesa upoważnić i udzielić mu władzy do podpisania kontraktu z Tamblin and Brown, kiedy takie podpisanie dojdzie do skutku.

Po czwarte, aby Komitet Finansowy Kampanii został upoważniony:

1. Do ubiegania się w imieniu wspomnianej Fundacji o członków z odpowiednim wkładem do Fundacji Kościuszkowskiej;

2. Do opłacenia kosztów kampanii z funduszy podpisanych i przychodów kampanii.

Obecni pełnomocnicy podpisali następujące kwoty: Pan Vauclain 5000 \$; prezes MacCracken 500 \$; prof. Lord 500 \$; pan Mizwa 250 \$ – w sumie 6250 \$.

Na wniosek pana Vauclaina, Zarząd upoważnił sekretarza do pożyczania w Spółce Trustu Gwarancyjnego sumy lub sum do dwóch tysięcy dolarów, aby zaspokoić bieżące wydatki podczas następnych trzech miesięcy, pan Vauclain zgodził się służyć jako poręczyciel.

Na wniosek, należycie sporządzony i poparty, Zarząd Administratorów ustanowił następujące klasy członkostwa Fundacji Kościuszkowskiej, bez prawa głosowania, oparte na kwocie wniesionej do wspomnianej Fundacji:

Członkowie czynni .....	5 \$
Członkowie wspierający .....	25 \$
Członkowie stali .....	100 \$
Opiekunowie .....	1000 \$
Założyciele .....	5000 \$

Pierwsze zebranie w roku akademickim lub roku skarbowym 1926/27 miało miejsce w biurze pana Vauclaina w Nowym Jorku 1 IX 1926 r. i rozpoczęło się od rozczarowującej uwagi:

Sekretarz donosił, że firma Tamblin and Brown nie została zaangażowana i kontrakt nie został podpisany z tego powodu, że niewystarczająca suma pieniędzy została podpisana przez członków rady, aby usprawiedliwić bezpośrednie ryzyko tak dużej skali wydatków oraz dlatego, że majowy zamach stanu w Polsce stanowił przeciwwskazanie dla kampanii, przynajmniej w obecnym czasie. Na miejsce firmy Tamblin and Brown zaproponował on zaangażowanie pana Edwarda Brancha Lymana, którego szacunkowy koszt kampanii o milion dolarów wynosił 30 000 \$, a więc tylko połowę sumy podawanej przez firmę Tamblin and Brown.

Na wniosek pana Vauclaina decyzja była jednogłówna na korzyść zaangażowania pana Lymana z klauzulą załączoną w kontrakcie, sprawiającą, że jeśli Zarząd Administratorów Fundacji Kościuszkowskiej uważa za rzecz wskazaną, wspomniany kontrakt może być zakończony pod koniec piątego miesiąca (tj. 1 II 1927 r.) albo pierwszego dnia jakiegoś następnego miesiąca, po 30-dniowym wypowiedzeniu i po wypłaceniu panu Lymanowi z góry miesięcznej zapłaty.

Doświadczenie z panem Lymanem, „zawodowym zbieraczem pieniędzy”, będzie opisane szczegółowo w następnym rozdziale.

Po zebraniu 1 IX 1926 r., administratorzy spotykali się w rzadszych odstępach, 3 lub 4 razy do roku, aby radzić nad takimi problemami, jak przedstawiono wyżej.

### *Rozczarowujące doświadczenia z Edwardem Branchem Lymanem*

Fiorello La Guardia zwykł mówić: „Kiedy robię błąd, jest to wspaniałe!”. Chciałbym tu wyznać, że pomyliłem się, gdy polecałem Lymana jako kierownika kampanii Fundacji dla zebrania 1 miliona. Jednakże ktokolwiek inny na moim miejscu z ambicją zobaczenia startu Fundacji od 1 miliona, ale bez jakiegoś doświadczenia w zbieraniu dużej sumy pieniędzy, mógłby zrobić ten sam błąd.

Gdy nie mogliśmy uzyskać 30 000 \$, jak sugerował pan Vauclain, aby pomóc w podpisaniu przez firmę Tamblin and Brown wydatków na kampanię (mniej niż połowa tej kwoty była podpisana), Lyman przyszedł do nas z interesującym opowiadaniem o swoim doświadczeniu w zbieraniu gdzieś około 2 milionów dla polskich ofiar I wojny światowej, z którym to funduszem był związany Paderewski. Lyman przyniósł kilka listów z wysokimi rekomendacjami i przedstawił, wydawało się, możliwy do przyjęcia plan zebrania 1 miliona \$ dla Fundacji Kościuszkowskiej.

Dowiedziałem się później o tym, co powinienem był wiedzieć, zanim kontrakt został podpisany, że Lyman był swego rodzaju sekretarzem administracyjnym Polskiego Komitetu Zapomogowego, a przyjaciele Paderewskiego prowadzili aktualnie zbiórkę i rozdawanie pieniędzy. I on sądził, że zbierze nasz fundusz w ciągu 10 miesięcy (od 1 IX 1926 r. do 1 VII 1927 r.).

Jego szacunkowy budżet wynosił 30 000 \$, wyszczególnionych jak następuje:

1. Opłata kierownika kampanii po 1000 \$ za miesiąc.....	10 000 \$
2. Premia dla kierownika kampanii, jeśli 1 milion \$ będzie zabezpieczony w da- rach i zastawach do 1 VII 1927 r. ....	5 000
3. Wydatki, wliczając w nie personel siedziby głównej kampanii .....	15 000
	W sumie ..... 30 000 \$

Cyfry podane wydawały się rozsądne, choć sugerowany okres 10 miesięcy był nierozsądnie krótki.

Miałem poważną wątpliwość odnośnie do tego terminu, ale mimo wszystko Edward Branch Lyman był „zawodowcem” i można było przypuszczać, że zna się na tym.

Z wyjątkiem zorganizowania dość udanego spotkania – DNIA ZAPOZNANIA SIĘ Z KOŚCIUSZKĄ – w Pamiątkowym Hallu Kontynentalnym, w budynku D.A.R., w Waszyngtonie, D.C. 18 X 1926 r., doświadczenie z zawodowym zbieraczem pieniędzy było w najwyższym stopniu rozczarowujące. On nie tylko sam nie zebrał ani pensa, ale – o ile sobie przypominam – nie przyczynił się w jakiś sposób do zrealizowania takich wpływów, jakie nadeszły dzięki wysiłkom moim lub innych ludzi, na zasadzie dobrowolności.

Pod datą 3 I 1927 r. skreśliłem szybko następującą uwagę dotyczącą Lymana:

Musiałem mu dzisiaj powiedzieć, że jeżeli nie osiągnie jakichś wyników w ciągu stycznia, na następnym zebraniu Zarządu wyłoni się kwestia trzymania go po 1 lutym.

Sytuacja ta stała się nieznośna. Wysoka płaca i żadnych konkretnych rezultatów po 4 miesiącach.

Nalegał na otrzymanie 1000 \$ przed rozpoczęciem pracy, na podpisanie kontraktu, który otrzymał 1 września.

W ciągu września nie zrobił praktycznie nic z wyjątkiem zamówienia obiadu dla polskich studentów 24 września – co mogło być załatwione przez telefon. Dla małej reklamy wypożyczył Roy Fricken na 2 tygodnie lub coś koło tego.

Od 24 września aż do 28 października pracował nad spotkaniem waszyngtońskim – jedno dobrze przygotowane. Wypożyczony Mercer Vernon na 2 tygodnie, 125 \$ za tydzień dla reklamy, której on [Lyman] nie mógł zrobić, lub która była poniżej jego godności.

Czasem w listopadzie miał lumbago przez kilka dni, nie przychodził do biura, nie przepraszał ani słowem. Pani Read<sup>1</sup> była rozczarowana niedotrzymaniem przez niego wyznaczonego terminu.



Miał ukończyć większą broszurę i wydrukować w grudniu. Teraz [3 stycznia] nie widziałem jeszcze manuskryptu, a Buffalo potrzebuje literatury dla swojej kampanii.

Planował jechać na Bermudy na święta Bożego Narodzenia, ale przypomniałem mu, że powinien wziąć swój dodatek w wysokości 5000 \$ raczej po zebraniu miliona i wówczas może jechać w następnym roku.

Jest zaniepokojony o to, czy zabezpieczy sobie stałą pracę z Fundacją.

Miałem pewną sprzeczkę z nim po pokazaniu konta Waszyngtonu – jego rachunek jest pełen drogich śniadań i obiadów, podczas gdy je on 50 \$ posiłki w Nowym Jorku, kiedy płaci własnymi pieniędzmi. Oczywiście, nie ma wycucia wartości pieniędzy innych ludzi.

Pojechał do Waszyngtonu znów w środku grudnia. Ta sama historia – wysokie wydatki, taksy – ale bez żadnych rezultatów. Tylko parę wywiadów i masę obietnic. Mówi dużo. Wypożyczył Vernona, aby wykonać pracę organizacyjną na zasadzie niepełnego wymiaru godzin. Płacił mu 50 \$ na tydzień. Vernon prosi o 2 tygodnie dodatkowej zapłaty – wtedy może będzie mógł coś uczynić. Widział parę osób.

Dziś nie pokazał się w biurze zupełnie. Niemo, sekretarz miejscowego komitetu pisze, żeby Lyman pojechał do Buffalo, aby pomóc w organizowaniu komitetu. Połączyłem się z nim telefonicznie, ale jest niechętny jechać do Buffalo. Jego usprawiedliwienie – musi czekać na broszurę, która ma wyjść z druku. Ale chce pomyśleć nad tym – może jechać do Buffalo. Powiedziałem mu, że jest to rzeczywiście pierwszy test pracy, która się liczy i ma szansę pokazać, co może zrobić.

**Ale były inne problemy poza Edwardem Branchem Lymanem.**

**Dziennik kontynuuje:**

W drugiej połowie stycznia był niski przyptył z każdego punktu. Booth [skarbnik] „robił mi piekło” o wszystko – ekstrawagancje urzędu, wysokie płace. Lyman nie wydawał się robić dużych postępów.

Konto wydatków kampanii praktycznie puste, rachunki i honoraria Lymana do zapłacenia. Bieżące konto również puste; raty stypendialne należne dla studentów do 15 stycznia i oni proszą o pieniądze. Większość administratorów była chora i niezdolna do zebrania się, aby zatwierdzić budżet i zabezpieczyć niezbędne fundusze.

Towarzystwo Chicago i Polski Klub Sztuki z Chicago dały prezesowi MacCrackenowi résumé krytyki w „Dzienniku Zjednoczenia” – co niewątpliwie uczyniło go chorym na serce i rozgoryczonym.

<sup>1</sup> Pani Read była wydawcą lub ważnym członkiem zespołu „Herald Tribune” i była zainteresowana zbiórką pieniędzy na tworzone stypendium im. Marii Skłodowskiej-Curie.

2 III 1927 r.

Dziś miało miejsce zebranie Zarządu Administratorów. Nadeszło to, czego się spodziewano. Vauclain zaproponował natychmiastowe usunięcie Lymana, ponieważ był on zbyt kosztowny i nie osiągnął żadnych aktualnych rezultatów zgodnie z arkuszem równowagi finansowej Bootha. Wysunąłem sugestię, żebyśmy dali Lymanowi szansę na miesiąc marzec do 1 kwietnia, a teraz byśmy zwrócili mu tylko uwagę, że Zarząd może zakończyć kontrakt z nim za miesiąc od obecnej chwili.

8 IV 1927 r.

Napięta sytuacja uspokoiła się. Lyman został zwolniony na zebraniu odbytym 6 kwietnia. Dzisiaj zaczął pokazywać skutki – nerwy i chory.

Odczuwam przykrość z jego powodu, ponieważ jest bez pracy, złamany i przybity, a jednak zaczynam rozumieć, że to jest najlepsze wyjście dla wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza dla Fundacji Kościuszkowskiej. Nie osiągnął żadnych uchwytnych rezultatów, w ciągu 7 miesięcy nie zebrał ani pensa. Popępiał błędy w każdym przypadku, robił błędy w rozumowaniu, wysłał 1500 listów do Waszyngtonu i nie otrzymał ani jednej odpowiedzi – nie nadszedł w rezultacie ani jeden pens [...]

Dla Fundacji Kościuszkowskiej najlepszą polityką wydaje się być niepoleganie na zawodowych zbieraczach pieniędzy, ale ściąganie po prostu do pracy – Mizwy, MacCrackena, Vauclaina. Może to być powolne, ale niekolektowne.

Vauclain wydawał się szczerze oceniać moje wysiłki, stwierdzając, że może być sprawą bardzo trudną dla F. K. kontynuowanie pracy, ale ja uczyniłem instytucję tym, czym ona jest i cokolwiek zostało zrobione, było zrobione dzięki moim wysiłkom. MacCracken wyrażał podobne uczucia, dodając, że odniosłem sukces w nawiązaniu właściwych kontaktów z amerykańskimi Polakami, a on wie ze swoich doświadczeń w Chicago, jak trudno jest nawiązać odpowiednie kontakty.

Tyle wspomnień i raportów dotyczących tego zniechęcającego epizodu z Edwardem Branchem Lymanem. Poświęciłem temu może więcej miejsca, niż należało. Zbłądziłem, kiedy polecałem Lymana, ale administratorzy, zwłaszcza Vauclain, zatwierdzili plan i to właśnie pan Vauclain był tym, który bezpośrednio i pośrednio zapłacił za ten zawodowy eksperyment.

Poniósłszy porażkę z „pomocą zawodową”, musieliśmy teraz podejść do problemu po amatorsku.

### *Decydująca rola pana Vauclaina*

Na zebraniu 6 IV Vauclain zwrócił się do mnie i dał upust swoim emocjom mniej więcej w następujący sposób:

Próbowaliśmy tzw. zawodowych zbieraczy pieniędzy, ale nie osiągnęliśmy żadnych konkretnych rezultatów. Teraz na nas kolej coś zrobić, kolej na pana, panie Mizwa, zakasać rękawy i zabrać się do pracy. Proszę ruszać w drogę i zobaczyć, co może pan zrobić. Z naszej strony będziemy brać udział, dostarczając panu trochę pieniędzy na zapłacenie biletu autobusowego lub kolejowego i inne skromne wydatki. Amerykańscy Polacy winni okazać specjalne zainteresowanie tym projektem.

Potem zwrócił się do obecnych administratorów i powiedział:

Jeśli nie macie żadnych zastrzeżeń, wyznaczę siebie samego jako przewodniczącego Komitetu Finansowego i będę usiłował zdobyć tyle pieniędzy, aby podtrzymać akcję.

Nie było żadnych zastrzeżeń...

Niech to będzie wieczystą zasługą zmarłego Samuela M. Vauclaina, że Fundacja była zdolna „utrzymać się na powierzchni”. To głównie dzięki jego wysiłkom otrzymaliśmy w początkowych stadiach następujące fundacje – wszystkie od Amerykanów niepolskiego pochodzenia z wyjątkiem jednej (prof. Zdanowicz), a mianowicie:

Samuel M. Vauclain, Philadelphia .....	25 500 \$
Herman Westinghouse, Pittsburgh .....	8 000
E. E. Statesbury, Philadelphia .....	4 000
William H. Woodin (wcześniej sekretarz skarbu USA, N.Y.) .....	1 500
Henry hrabia MacCracken, Vassar College, Poughkeepsie, N.Y. ....	1 125
F. F. Fitzpatrick, New York .....	1 000
Edwin P. Shattuck, New York .....	500
Profesor Robert H. Lord, Harvard University .....	400
James C. White, Chicago .....	300
H. S. Demarest, New York .....	250
Profesor S. Burt Wolbach, Harvard University .....	250
William R. Grove, Philadelphia .....	250
Profesor C. D. Zdanowicz, University of Wisconsin .....	250
Profesor Paul Monroe, Columbia University .....	250
Profesor Julia Orvis, Wellesley College .....	50
J. W. Van Dyke, New York .....	50
Płk. Cedric F. Fauntleroy, Chicago .....	25
Ernst F. W. Alexanderson, Schenectady, N.Y. ....	25
Suma .....	43 575 \$

Kiedy „wielka depresja” dotknęła kraj po krachu na giełdzie w 1929 r., pan Vauclain z żalem poinformował nas, że Fabryka Lokomotyw Baldwina otrzymała zamówienie na tylko jedną lokomotywę i w takich okolicznościach czuje, że powinien zrezygnować. 24 XII 1931 r. wystąpił następujący list do administratorów:

Z najgłębszym żalem składam moją rezygnację jako jeden z członków Zarządu Administratorów Fundacji Kościuszkowskiej.

Uważam za niemożliwe kontynuowanie mojej przynależności do tego bardzo godnego szacunku dzieła i będąc jednym z założycieli, z prawdziwym smutkiem czuję się zmuszony zrezygnować. Jest dla mnie rzeczą niemożliwą kontynuowanie mojej pracy jako jeden z administratorów Fundacji, dopóki nie będę mógł dać jej istotnej pomocy finansowej. W chwili obecnej jest to niemożliwe i dlatego pragnę uwolnić się od takiej odpowiedzialności.

Z poważaniem  
(-) S. M. Vauclain

Rezygnacja została przyjęta z głębokim smutkiem i rezolucją stwierdzającą:

Zarząd Administratorów Fundacji Kościuszkowskiej indywidualnie i zbiorowo oraz w imieniu tych, którzy pomagali i będą pomagać przez dobrowolną działalność, wyraża niniejszym swoją serdeczną wdzięczność panu Samuelowi M. Vauclainowi za umożliwienie powstania tej fundacji, za jego pomoc, jego radę, jego przyjaźń.

Rezolucja była zakończona prorocstwem:

Dalej postanawia się, że sekretarz i prezes są niniejszym upoważnieni do przekazania tych uczuć panu Samuelowi M. Vauclainowi i zapewnienia go, że jak długo będzie istnieć Polska i Polacy, będzie też Fundacja Kościuszkowska, popierająca stosunki kulturalne pomiędzy nimi a Ameryką, i tak długo, jak ta Fundacja będzie istnieć, nazwisko Samuela M. Vauclaina będzie na zawsze z nią związane, jako jednego z jej pierwszych i największych dobroczyńców.

Henry hrabia MacCracken  
Prezes

Stephen P. Mizwa  
Sekretarz

Tak zakończył się początkowy 6-letni okres, era Vauclaina.

Jednakże, zanim jeszcze Lyman został zwolniony, w kwietniu 1927 r., ja już dość dużo podróżowałem i organizowałem lokalne Komitety Fundacji Kościuszkowskiej we wspólnotach polonijnych.

Pragnę również złożyć serdeczny hołd drowi Henry'emu hr. MacCrackenowi. Jego moralna pomoc i rady były nieocenionej wartości. Ciągłe zajęty, znalazł jeszcze zawsze czas, aby spędzić ze mną godzinę lub dwie, przeważnie w domu prezesa przy Vassar College.

Kiedykolwiek powstawały jakieś problemy, w sprawie których potrzebo wałem porady – szedłem odwiedzić dra MacCrackena. Zwykle udawałem się do Poughkeepsie do jego biura o 17.00 albo 18.00, spędzałem z nim godzinę lub dwie, jadłem obiad z jego rodziną, a następnie wracałem pociągiem z powrotem do Nowego Jorku. Jeśli pogoda była zła, spędzałem jeszcze noc w pokoju i czarująca pani przyłączała się do nas w „uprzejmej konwersacji” po obiedzie, dyskutując na jakiś temat, budzący powszechne zainteresowanie.

Nazwisko dra MacCrackena jako prezesa Fundacji Kościuszkowskiej na nagłówku listowym było nieocenionej wartości. Było zdolne zapewnić pomoc w formie stypendiów wielu college'ów i uniwersytetów, zasadniczo z powodu związku dra MacCrackena z Fundacją.

Przez pierwsze ćwierćwiecze Fundacji hr. MacCracken był dla mnie obłokiem dymu w ciągu dnia i słupem ognia w nocy. Był on jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich poznałem w życiu.

### *Kilka przeszkód*

Następnie było trochę trudności, które musiały zostać jakoś przezwyciężone:

Po pierwsze, ja nie byłem znany. „Kto to jest ten Mierzwa?” to było pytanie stawiane przez niektórych spośród znanych przywódców (szczególnie prezesów czołowych organizacji brackich). „Jeśli chcemy założyć fundację, mamy środki i wiemy, jakie są przepisy i nie potrzebujemy być pouczeni przez kogoś i to nawet nie znanego w społeczności polonijnej”.

Po drugie, nastąpiło wycofanie się ze źle pojętych olbrzymich planów odbudowy Polski. Gdy Polska odzyskała niepodległość w listopadzie 1918 r., powstała prawie w ciągu nocy pewna liczba planów i korporacji z rzekomym celem przemysłowego odbudowania Polski. Sprzedawcy akcji w takich korporacjach objeżdżali kraj, zwracali się do masowych zebrań w polonijnych wspólnotach i sprzedawali akcje na tysiące – przeważnie naszym ciężko pracującym ludziom. Gładkojęzyczni sprzedawcy często tak rozentuzjzowali swoich słuchaczy, że ludzie opuszczali zatłoczoną halę, szli do domu, wyciągali parę setek dolarów spod materaca, wracali i kupowali więcej akcji – powodowani szczerym pragnieniem pomagania krajowi od początku, tworzenia jego narodowej ekonomii. Dwa najbardziej popularne programy nosiły nazwy: „Mechanicy” i „Polska Flota Handlowa”. „Mechanicy” odnieśli sukces, otwierając małą fabrykę, która funkcjonowała przez jakiś czas. Gdy chodzi o „Flotę”, było pełno wiatru, ale nie było podróży. Oceniano, że Amerykanie polskiego pochodzenia stracili około 40 milionów dolarów. Może to być przesadą, ale jedynymi ludźmi, którzy pomagali, byli sprzedawcy akcji i przedsiębiorcy. Bez wątplenia było wśród nich trochę znaczących i uczciwych ludzi. Po tym strasznym rozczarowaniu, po stracie ludzi, którzy chcieli pomóc Polsce, powstał slogan w języku polskim: „Chłopie, zapnij kieszeń”! W takim momencie było niezmiernie trudno wzbudzić zainteresowanie na rzecz sprawy polskiej.

Po trzecie, zaistniało przejście pokoleń, „luka pokoleń”. Nieograniczona imigracja z Polski była odcięta, a pierwsza i druga generacja, urodzona w Ameryce z wcześniejszych imigrantów, rodziców i dziadków, narastała. Podczas gdy ich rodzice i dziadkowie byli zorientowani propolsko i byli nazywa-

ni Polakami w Ameryce, nowsze pokolenia były już zaliczane do kategorii Polsko-Amerykanów albo Amerykanów polskiego pochodzenia. Zachowując istniejące przywiązanie do kraju pochodzenia, stawali się oni coraz bardziej świadomi swego przywiązania do Ameryki. Przebywszy pierwsze stadium zarobienia dosyć dużej ilości pieniędzy „na życie”, przechodzili oni teraz do drugiego stadium – „jak żyć” i jak uczynić to życie lepszym dla swych dzieci i dzieci ich dzieci. Pierwsza i druga generacja urodzona w Ameryce była skłonna mówić: „Jesteśmy Amerykanami! Nie zanudzajcie nas o tym starym kraju”. Wydawało się, że będzie rzeczą beznadziejną próbować popierać polską sprawę kulturalną wśród starszych pokoleń, które przybyły tu przeważnie nieobciążone kulturowym bagażem, a młodsze generacje to już „Amerykanie”. A jednak to ogół szarych obywateli starszych, a z czasem nowszych generacji w głównej mierze uczynił możliwą Fundację Kościuszkowską. Potem znani przywódcy poszli za szeregowymi obywatelami.

Po czwarte, oficjalni przywódcy poszli, ale nie wcześniej, zanim nie poczynili własnych starań, które się nie powiodły. Czy to zainspirowani ideą Fundacji Kościuszkowskiej, czy z innych względów, zorganizowali oni to, co się w Polsce nazywało „Polska Rada Opieki Społecznej w Ameryce” (albo krótko: „Prosa”), która – jak przypuszczano – uczyni wszystko, włączając program rozpatrywany przez Fundację Kościuszkowską. Kierownictwo „Prosy” składało się w głównej mierze z prezesów czołowych bratnich organizacji dobroczynnych, paru starych kapłanów, kilku doktorów, prawników i ludzi interesu. Mając znaczny wpływ w czołowych bratnich organizacjach polonijnych, stamtąd też możliwość pomocy finansowej i jakiegoś wpływu na prasę polskojęzyczną, byli oni w stanie zrobić coś dobrego, także po to, aby przeszkodzić wysiłkom Fundacji Kościuszkowskiej. Ich argumentem było to, że nie ma żadnej potrzeby popierania Fundacji, ponieważ „Prosa” zamierza wykonać wszystko to, co planowała zrobić Fundacja – i jeszcze coś więcej. Ponieważ dr MacCracken był prezesem Fundacji, a Vauclain pomagał finansowo, dwóch spośród tzw. przywódców posunęło się tak daleko, że napisali do dra MacCrackena i Vauclaina ostrzegając ich, aby się nie zadawali zbyt z Mierzwą. Dr MacCracken odpowiedział osobiście, a Vauclain prosił mnie, aby złożyć dla niego odpowiedni list jako jego odpowiedź.

Inny epizod wydawał się być nawet bardziej szkodliwy w początkowym stadium Fundacji. Wydawca „Dziennika Związkowego”, dziennika Polskiego Związku Narodowego, wydawanego w Chicago napisał, że z początkowych wkładów na powstającą Fundację Kościuszkowską brakowało jakieś 16 000 \$ albo 18 000 \$ i Mierzwa nie mógł wytłumaczyć się z brakujących pieniędzy. Nawiasem mówiąc, całkowite wkłady otrzymane do tego czasu nie wynosiły tyle. Kiedy pewna pani z Chicago, która była urzędniczką Polskiego Związku Narodowego, związaną z „Prosa”, opowiadała z posmakiem plotki historię, która pojawiła się w „Dzienniku Związkowym”, po raz

pierwszy w życiu wybuchnąłem płaczem. Incydent miał miejsce w Alliance College, na zebraniu Zarządu Szkolnego, którego byłem przewodniczącym.

Mogłem zrozumieć pragnienie utrzymania intruza z daleka od „prywatnych” rezerw rzeczywistych jak i potencjalnych udziałowców, ale nie mogłem zrozumieć takich metod. Bez zagrożenia procesem o paszkwil, napisałem do prezesa Polskiego Związku Narodowego, którym był wtedy Żychliński, stwierdzając, że oskarżenie było w najwyższym stopniu nieuczciwe i sugerując, żeby wydawca dostarczył parę faktów dla udowodnienia swojego oskarżenia albo czekał do końca roku finansowego Fundacji i zażądał raportu od Uwierzytelnionego Buchaltera Publicznego. W ciągu paru dni wydawca odwołał wszystko i nawet posunął się tak daleko, iż stwierdził, że cała historia była „wysana z palca”.

Chociaż przez jakiś czas potem otrzymywałem anonimowe dziwaczne listy albo kartki pocztowe gratulujące mi posiadania do swej dyspozycji „mlecznej krowy”, cały epizod przeminął i został całkowicie zapomniany. Wydarzyły się dwie rzeczy, które poprawiły atmosferę:

Po pierwsze, kiedy dr MacCracken był w Chicago, zaproszony przez Stowarzyszenia Wychowanków Vassar, został poproszony, aby przemówił na zebraniu Towarzystwa Chicago, organizacji złożonej z różnorodnych handlowców polskiego pochodzenia, oddziału Polskiego Związku Narodowego. Temat przeznaczony dla niego brzmiał: „Fundacja Kościuszkowska. Pan Mierzwa i rzekomo brakujące 16 000 \$”. Na zakończenie zasugerował on, abym został zaproszony z przemówieniem na ich następne miesięczne zebranie, na co Towarzystwo wyraziło zgodę. Zgodziłem się. Chciałbym tu również wyznać, ponieważ ma to znaczenie dla licznych przyszłych okazji, kiedy musiałem zwracać się do zgromadzeń wielkich i małych, że nie jestem efektywnym mówcą publicznym. Mogę podawać fakty, opowiadać historię, ale nie mogę poruszyć publiczności swą mową. Tak było na zebraniu Towarzystwa Chicago. Właściwie opowiedziałem im, czym była Fundacja Kościuszkowska i po co była; że wkłady wpływające do funduszu stypendialnego zostały zainwestowane, ale bieżące wydatki, obejmujące początkowy i raczej bardzo skromny program stypendialny, były pokrywane w głównej mierze przez pana Vauclaina i w dużej części przez jego przyjaciół niepolskiego pochodzenia. Kiedy skończyłem, zgotowano mi długotrwałą owację i Towarzystwo uchwaliło znaczny wkład na Fundację.

Po drugie, ludzie z „Prosy” oprzytomnieli. Bronisław Kamiński był wydawcą polskiego „Dziennika dla wszystkich” w Buffalo i również sekretarzem narodowym „Prosy”. Znał mnie z moich czasów studenckich z Harvardu, kiedy był głównym wydawcą polskiego dziennika ukazującego się w Bostonie, a ja, w imieniu polskiego Klubu Studentów w Bostonie, byłem wydawcą strony publikowanej raz na miesiąc w tej gazecie. Kiedy Kamiński zobaczył, co jego organizacja, „Prosa”, próbowała zrobić, aby przeszkodzić w

kampanii na rzecz pieniędzy dla Fundacji, miał odwagę napisać w „Dzienniku dla wszystkich” list otwarty skierowany do „Prosy”, w którym oświadczył: „Panowie, uważajcie! Może przyjsć czas, kiedy „Prosy” już nie będzie i będzie zapomniana a przetrwa Fundacja Kościuszkowska”.

Prorocze słowa!

W opisie niektórych bolesnych i przykrych epizodów odbiegłem jakoś od głównego tematu. Teraz wrócimy z powrotem do wcześniejszych okresów z września – października 1925 r.

### *W drodze*

Przez około 20 lat, od 1925 do 1945 r., kiedy to Fundacja nabyła swój własny budynek, a ja uzyskałem bardziej określoną pozycję, spędzałem dużo czasu w drodze, przemierzając wschodnie i centralne części Stanów Zjednoczonych, od Nashua, N.H., na wschodzie do Omaha, Nebraski, na zachodzie; od Milwaukee, Wisconsin, na północy do Orlando i St. Petersburg, Florydy, na południu\*. Podczas pierwszych pięciu czy sześciu lat podróżowałem pociągiem. Później jeździłem samochodem, bo to dawało większą sposobność odwiedzania różnych miast w każdej podróży, często wiozłem ze sobą projektor filmowy i jeden lub dwa filmy o Polsce, które stanowiły atrakcję na publicznych zebraniach. W okresie 20 lat przebyłem ponad 200 000 mil.

W związku z moimi częstymi wyjazdami z Nowego Jorku, często na tydzień lub dwa za jednym razem, pragnę wspomnieć pełną oddania współpracę mojej drogiej żony. Mieliśmy dwójkę małych dzieci, Helenę, urodzoną 25 XI 1925 r. i Tadeusza, urodzonego 4 VII 1927 r. Ona nie tylko opiekowała się dziećmi, ale również domem, np. szuflując węgiel do pieca. Nigdy nie postawiła pytania: „Musisz wyjeżdżać?” Faktycznie nigdy nie zakwestionowała pośpiesznego kroku opuszczenia pracy dydaktycznej z zapewnionym etatem na Drake University i rozpoczęcia czegoś, czego powodzenie było bardzo wątpliwe.

Było to w tym czasie, gdy oczekiwaliśmy naszego pierwszego dziecka i kiedy nasze skromne oszczędności praktycznie się skończyły z powodu mojego wcześniejszego roku nauki na Harvardzie i drugiego roku podyplomowego dla zdobycia upragnionego stopnia doktora filozofii. Ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, aby wynająć pokój w Nowym Jorku, moja żona i dziecko spędzili pierwszy rok (1925/26) ze swoimi rodzicami, Danielem Twarogiem i jego żoną, w Chicopee, Massachusetts. Od czasu założenia bazy w Nowym Jorku poświęciłem większość moich godzin roboczych pracy organi-

\* Główna część historii *Jak powstała Fundacja* została napisana w skróconej formie w Domu Opieki w Houston, Texas. Ponieważ nie miałem dostępu do materiałów Fundacji Kościuszkowskiej, odległej o jakieś 1800 mil, musiałem polegać na własnej pamięci.



zacyjnej, z pomocą jednej sekretarki zawodowej, gdy tylko było trochę pieniędzy, aby taką wynająć.

Była to piękna idea i ambitny cel – żywa pamiątka dla polskiego i amerykańskiego bohatera, Tadeusza Kościuszki, i cel jeden milion dolarów na początek, jako fundusz stypendialny.

Pan Vauclain przyczynił się do zebrania pieniędzy na początkowe wydatki, ale moim zadaniem było zebrać 1 milion \$, z którego jedynie dochód miał być użyty na cele Fundacji.

W całym tym projekcie była jedna zaleta i jedna wada: zaleta, że nie było wyznaczonego terminu na zebranie tego miliona; wada, że nie miałem najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Jednakże miałem wytrwałość polskiego wieśniaka, entuzjizm fanatyka i wiarę, że wcześniej czy później 1 milion będzie zebrany jako fundusz stypendialny.

Ponieważ nie było większej liczby pojedynczych datków na rozpoczęcie kampanii i zachęty do innych darów, podjąłem projekt, który okazał się bardzo pomocny w stymulowaniu zainteresowania. Wysłałem opowiadanie o testamencie Kościuszki na rzecz niewolników–Murzynów do jednego z murzyńskich tygodników.

Wydawca był pod takim wrażeniem, że skłonił on dzieci murzyńskie, nastolatki, które należały do organizacji czy klubu zwanego Billikans albo Billikanus, jeśli dokładnie pamiętam, aby wysłały po 10 centów do Fundacji Kościuszkowskiej, jako wyraz uznania dla tego, co Kościuszko usiłował zrobić dla Murzynów przed ponad 60 laty przed ogłoszeniem proklamacji. Zachęcony tym gestem, przygotowałem ilustrowany, czterostronicowy druczek w nakładzie paru tysięcy egz., o roli Kościuszki w Wojnie Amerykańskiej i wysłałem kopie do dyrektorów szkół w głównych wspólnotach polonijnych z sugestią, że na żądanie zostanie wysłanych więcej kopii do działu wśród innych kierowników szkół i nauczycieli. Wyraziłem nadzieję, że może dzieci w ich szkołach uczynią coś podobnego jak dzieci murzyńskie. Paru dyrektorów odpowiedziało, że w ich szkołach nie są dozwolone żadne starania o fundusze, ale wielu spośród nich prosiło o więcej kopii i zrobiło wyjątek w sprawie starań. Rezultat był taki, że nadeszło z dwóch źródeł gdzieś między 75 a 100 \$ w decymach. Miało to bardziej znaczenie moralne we wzbudzaniu zainteresowania, aniżeli podwyższyło kwotę pieniędzy.

W latach 1925/1926 liczba polskich Amerykanów była oceniana na 4 do 5 milionów. Przyjmując, że było nas 5 milionów, w swojej naiwności sugerowałem, że jeśli każdy da 20 centów, 1 milion \$ zostanie osiągnięty. Nie wyobrażałem sobie wtedy, tak jak wyobrażałem sobie w związku z kampanią czterdziestej rocznicy Fundacji, że 1 milion \$ nie może być osiągnięty w decymach i quarterach (monety 25-centowe). Ludzie doświadczeni w zbieraniu pieniędzy mówili nam, że cel, 1 milion \$, może być osiągnięty tylko wtedy, jeśli około 75% zobowiąże się na wyższe kwoty pieniędzy, 1000 \$ albo wię-

cej. Jednakże dość dużo wspólnot polonijnych wzięło kwotę 20 centów na osobę poważnie.

Prowadziłem swoją działalność pięcioma kanałami:

Po pierwsze, przygotowałem listę czołowych wspólnot polonijnych z szacunkową liczbą ludności polonijnej i wyznaczonymi kwotami 20 centów na osobę – powiedzmy 2000 \$ na 10 000 ludzi. Po drugie, z około ośmiu polskojęzycznych dzienników i podobnej liczby czołowych tygodników wynotowałem nazwiska i adresy ludzi, którzy byli wymienieni w związku z miejscową działalnością, włączając w to handel itd. Po trzecie, napisałem do tych ludzi, opowiadając im o Fundacji i pytając ich, czy mogliby być pomocni w organizowaniu miejscowych komitetów Fundacji Kościuszkowskiej z uwzględnieniem zbiórki ich szacunkowych kwot. Po czwarte, jeździłem, odwiedzając takie zebrania, które były organizowane jako rezultat korespondencji. Nawiasem mówiąc, zebrania i komitety były organizowane niezależnie od moich wysiłków, a ja byłem proszony o przemówienie do takich grup. Większość tej pracy była wykonana przez polskich imigrantów, ludzi ze „starego kraju”, pracujących mężczyzn i kobiety. Oni byli solą ziemi! Po moich uwagach krążył dookoła kapelusze, który przyniósł 40 albo 50 \$ w dimach, quarterach i pojedynczych dolarach, a przewodniczący zapraszał do stołu tych, którzy życzyli sobie zrobić większy wkład, zwykle 500 \$ albo więcej, a których nazwiska miały być wymienione w gazetach. Ten tok postępowania przyniósł parę setek dolarów wśród publiczności, liczącej ponad 200 ludzi. Często ludzie, którzy wkładali dolar do kapelusza, darowali potem 5 albo 10 \$ na stolik. Po piąte, po każdym takim zebraniu wysyłałem sprawozdanie do prasy polskojęzycznej, cytując nazwiska ofiarodawców 5 lub więcej dolarów i wspominając organizatorów zebrania. Polskojęzyczna prasa w większości współpracowała przez podawanie kwot, co z czasem zabierało dużo przestrzeni. Bez tej współpracy zadanie byłoby o wiele trudniejsze. Potem każdego roku były dwa lub trzy zebrania nowych polonijnych organizacji dobroczynnych, na niektóre z nich dopuszczono mnie i ja apelowałem o znaczny wkład ze skarbcza organizacji, za aprobatą zgromadzenia. Największy wkład ze źródeł tego rodzaju nadszedł z zebrania Polskiego Związku Narodowego, odbytego w Chicago w 1928 r. – 30 000 \$ wartości nominalnej w Polskim Rządzie, 6% obligacji. Niestety, na skutek II wojny światowej obligacje te spadły do kilku tylko centów z dolara i zostały sprzedane po tej cenie.

Biorąc pod uwagę dary z polonijnych organizacji dobroczynnych na korzyść ich ewentualnego uczestnictwa, jakieś 800 000 ludzi przyczyniło się wprost lub nie wprost do tego, że Fundacja Kościuszkowska stała się rzeczywistością.

We wczesnym okresie istnienia Fundacji dość dużo wspólnot polonijnych urządzało obchody ważnych wydarzeń w polskiej historii, takich jak Konstytucja 3 Maja, Powstanie Listopadowe i Powstanie Styczniowe. Od czasu do

czasu byłem proszony, abym był głównym mówcą albo jednym z mówców. Mój temat zawsze brzmiał: „Konstytucja 3 Maja i Fundacja Kościuszkowska”, „Powstanie Listopadowe i Fundacja Kościuszkowska”, „Powstanie Styczniowe i Fundacja Kościuszkowska”. Każde z tych obchodzonych uroczyscie wydarzeń miało coś wspólnego z wolnością dla Polaków. Kościuszkowski walczył w Ameryce o wolność, z której teraz korzystamy. Fundacja Kościuszkowska jest uważana za żywy pomnik tego dzielnego Polaka, bohatera polskiego i amerykańskiego.

Dalsze dzieje Fundacji Kościuszkowskiej przedstawione w książce Stephena P. Mizwy wyglądały następująco:

Po krachu na giełdzie w 1929 r. i rezygnacji Vauclaina z pracy w Zarządzie Administratorów, Fundacja znalazła się wobec poważnego kryzysu i konieczności ograniczenia swego budżetu. W tej sytuacji pan Mizwa przyjął dodatkowo prezydenturę w Alliance College na okres paru lat. W 1932 r. pan Mizwa powrócił całkowicie do Fundacji Kościuszkowskiej. Kryzys związany z depresją minął, można było pomyśleć o realizacji programu Fundacji. Parę balów zorganizowanych przez wspólnoty polonijne znacznie podreperowało budżet. Ważnym problemem było teraz znalezienie odpowiedniego pomieszczenia dla Fundacji Kościuszkowskiej. Od początku 1945 r. rozpoczęło się poszukiwanie domu. Najbardziej odpowiednim dla celów Fundacji był dom państwa Pattersonów w Nowym Jorku przy 15 East 65 Street. Po 6 miesiącach pertraktacji dom został zakupiony i Zarząd Fundacji Kościuszkowskiej mógł się przenieść pod nowy adres 31 XII 1945 r. Posiadanie przez Fundację własnego domu dawało jej poczucie stabilizacji i solidną podstawę dla dalszego rozwoju.

W 1950 r. Fundacja Kościuszkowska obchodziła swój srebrny jubileusz. Był to jubileusz tym radośniejszy, że Fundacja spłaciła swoje ostatnie długi. W domu Fundacji umieszczono tablicę pamiątkową dobroczyńców. W 1970 r. było na niej 40 płytek z nazwiskami członków założycieli i 131 płytek z nazwiskami dobroczyńców.

Na zbliżającą się w 1965 r. 40 rocznicę istnienia Fundacji Kościuszkowskiej pan Mizwa zaproponował zorganizowanie kampanii funduszu 40 rocznicy w celu podwyższenia aktywów Fundacji. Chodziło o zebranie 1 000 000 \$. Cel ten został osiągnięty z nadwyżką jakichś 300 000 \$. W prowadzeniu tej kampanii korzystano z usług zawodowej firmy Tamblin and Brown.

W ciągu 45 lat swego istnienia Fundacja Kościuszkowska wydała blisko 2 miliony \$ na cele związane z nauką i kulturą. Od lipca 1970 r. pan Mizwa wraz z żoną, całkowicie ociemniała, został umieszczony w Domu Opieki w Houston w Teksasie, w pobliżu miejsca zamieszkania syna Tadeusza. W tym czasie funkcję prezesa Fundacji Kościuszkowskiej przejął dr Eugeniusz Kusielewicz.